Cena 10 zł

ŚWIETLICA KRAKOWSKA

dwutygodnik

Egzemplarz bezpłatny C

Nr. 5 | Kraków, 1 marca 1947 r. | Rok III



T. Axentowicz: „Oberek"

KRZYSZTOF SIEWICKI

Po zapustach

Aż to niebo wyiskrzałem ciemne —
taki grajek, taki grajek ze mnie.

Aż mi pułap głowę ubielił —
tak się człowiek, tańcując, weselił.

Dzisiaj, Kasiu, gdzież ta uciecha?
Nie dogonisz, nie dogonisz echa.

Milkną skrzypki, harmonijki milkną
i świat dnieje. Drzwi cicho przymknął.

Mała Konstytucja zatwierdziła przemiany społeczne w Polsce

Wyłoniona przez Sejm Komisja Konstytucyjna zatwierdziła projekt Małej Konstytucji, opartej o wspólny projekt, złożony w Komisji przez Kluby Poselskie PPS i PPR. Najistotniejszą zmianą, jaką projekt Małej Konstytucji wniósł w stosunku do dotychczasowego ustroju, jest przejęcie w pewnym zakresie funkcji Prezydium KRN i funkcji w zakresie zatwierdzania dekretów oraz zwierzchniego nadzoru nad samorządem przez Radę Państwa. Rada Państwa składać się będzie wyłącznie z przedstawicieli, wybranych przez Sejm. Na czele Rady Państwa stać będzie Prezydent RP, w jej skład wejdą Marszałek i wicemarszałkowie Sejmu oraz Prezes Najwyższej Izby Kontroli Państwa. Dalszych trzech członków Rady Państwa może wybrać Sejm na jednomyślny wniosek Rady. Liczba ta nie może jednak przekraczać trzech osób. W razie wojny do Rady wejdzie jeszcze Naczelny Dowódzca WP. Rada Państwowa posiadać będzie również inicjatywę ustawodawczą tzn., że będzie mogła składać projekty ustaw na równi z Rządem i Sejmem. Na wniosek Rady Ministrów, Rada Państwa będzie również w prawie zatwierdzać stan wyjątkowy i stan wojenny w Państwie. Wnioski te jednak muszą być uchwalone przez Sejm. W pracy Komisji Konstytucyjnej wzięły udział bez wyjątku wszystkie Kluby Poselskie. Posłowie opozycyjnego Klubu PSL, poza negatywnym ustosunkowaniem się do Instytucji Rady Państwa, w miejsce której proponują stworzenie Rady Samorządowej, w swym projekcie nie wnieśli niczego nowego — dlatego zarówno ich projekt, jak i poprawki zostały olbrzymią większością odrzucone. Po przerwie, w czasie której Komisja Konstytucyjna opracowała projekt Małej Konstytucji, — toczyły się dalsze obrady Sejmu, który projekt Małej Konstytucji zatwierdził. Wszystkie doświadczenia i nowe momenty naszego obecnego życia państwowego znalazły swoje odbicie w Małej Konstytucji. Mała Konstytucja jest pierwszą próbą połączenia w jedną logiczną całość dwóch elementów: demokratycznych tradycyj konstytucyjnych, oraz nowych elementów ustrojowych, które wyrosły z głębokich przemian społecznych i gospodarczych. Usuwa ona dotychczasową sprzeczność między normą prawną, a realnym układem sił politycznych i społecznych. Atmosfera, w jakiej toczyły się prace nad uchwaleniem projektu Małej Konstytucji, która opierając się na zasadach Konstytucji z r. 1921, zatwierdza to wszystko, co nowego w nasze życie wniosły przemiany społeczne i gospodarcze, była zgoła inna, niż w r. 1918. Obecnie Sejm Ustawodawczy wyszedł z wyborów, których podstawowe stronnictwa demokratyczne walczyły wspólnie dla osiągnięcia wspólnego zwycięstwa. Toteż, podczas gdy w dawnym Sejmie lewica i centrum były skłócone i pozbawione wspólnej linii działania, a prawica była silnie skonsolidowana w obronie swoich interesów, dziś sytuacja zmieniła się zupełnie. Dziś mamy Rząd koalicyjny, w którym obok silnej, zjednoczonej lewicy, zasiadają przedstawiciele innych ugrupowań demokratycznych. Dziś mamy Rząd, który ma poparcie większości przedstawicielstwa Ludu w Sejmie. Charakterystyczna jest postawa klubu katolicko-społecznego, który cechuje trzeźwość oceny obecnej rzeczywistości i pozytywny stosunek do Rządu. Opozycja Peeselowska w porównaniu z przeważającymi siłami prorządowych klubów PPR, PPS, SD, SL, PSL Nowe Wyzwolenie, SP i Klubu Katolicko-Społecznego nie może odegrać dziś roli destruktywnej i niczym nie przeszkodzi w sprawowaniu władzy silnemu Rządowi i silnemu Sejmowi.

(o).

IRENA PANCERZ-GRABOWSKA

Z wizytą w krakowskiej Gazowni Miejskiej

Mroźny wicher dmie silnie w oczy, gdy skręcam w ulicę Gazową i staję przed bramą Gazowni Miejskiej. Nowoczesny budynek, mieszczący biura, utrzymany w czystości wita przychodnia swym przytulnym ciepłem, promieniującym od rozgrzanych kaloryferów. W towarzystwie długoletniego pracownika Gazowni, Tadeusza Mrugacza, udaję się do gabinetu dyrektora inż. Adama Michałowskiego. Tu poznaję z relacji dyrektora tajniki produkcji tej fabryki, która jest czynna dzień i noc i we wszystkie święta.

BOHATERZY PRACY

Dewastacje, jakie poniosła Gazownia zarówno na skutek rabunkowej gospodarki niemieckiej, jak i działań wojennych, osiągnęły dużą cyfrę 70%. Wszystkie trzy zbiorniki z gazem uległy rozbiciu pod wpływem silnych prądów powietrza, wynikłych podczas wysadzania pobliskiego mostu na Wiśle. Piece jednak były czynne bez przerwy dzięki bohaterskiej postawie robotnika Andrzeja Bobaka, który pracuje w Gazowni 36 lat. Wśród kanonady i bombardowania, nieprzerwanie pełnił on dyżur przy piecach i utrzymywał w nich wysoką temperaturę, dosypując stale węgla, dostarczanego mu przez innych członków dzielnej załogi robotniczej. Świadomość, że wygaśnięcie pieców równałoby się ich kompletnemu zniszczeniu i unieruchomieniu Gazowni na czas nieokreślony, dodawała temu bohaterowi pracy nieustraszonej odwagi w wytrwaniu na placówce. Przez 48 godzin bez przerwy trwała jego wierna służba dla ukochanego warsztatu pracy i jemu to zawdzięczają mieszkańcy Krakowa, że już w trzecim dniu po wyzwoleniu zaczęto oddawać gaz, mimo braku zbiorników, wprost z regulatora, co wymagało nadzwyczajnej sztuki. Jest to prawdopodobnie pierwszy tego rodzaju wypadek w historii gazownictwa. W ciągu kilku następnych tygodni odremontowano jeden mały zbiornik i zaczęto oddawać gaz o ciśnieniu jednostajnym. Wówczas to dawał się silnie odczuwać brak węgla koksującego, który zastępowano węglem opałowym, zwożonym do Gazowni wszelkimi możliwymi do osiągnięcia środkami lokomocji, byleby tylko piece utrzymać w należytej temperaturze i ludność Krakowa zaopatrzyć w gaz, gdy była pozbawiona jakiegokolwiek innego opału. Obecnie Gazownia ma znowu swoją bocznicę kolejową, odbudowaną własnymi siłami przez robotników Gazowni. W ten sposób węgiel koksujący, załadowany na Śląsku, przybywa wprost do Gazowni. Po dwóch miesią-

cach przystąpiono do remontu największego zbiornika i postarano się o dostawę gazu ziemnego z Zagłębia Jasielskiego, po uprzedniej naprawie rurociągu. W czasie działań frontowych zostały rurociągi na moście przerwane. I oto znów świadectwo bohaterstwa robotnika polskiego. Celem zapobieżenia niechybnej eksplozji, robotnicy gazowni pod ogniem artylerii zabezpieczyli uszkodzony rurociąg przed uchodzeniem gazu. Dzięki uruchomieniu dostawy gazu ziemnego Gazownia była w możności znieść początkowe ograniczenia w zużyciu gazu. Jakkolwiek dopływ gazu ziemnego uregulował gospodarkę gazową, to jednak na skutek niedbałej kontroli niemieckiej, rurociągi są częściowo zanieczyszczone, co powoduje, że ciśnienie gazu w niektórych dzielnicach miasta jest słabe. W roku bieżącym Gazownia Miejska przystąpiła do systematycznego oczyszczania rur. Ilość konsumentów gazu stale wzrasta. Na przeszkodzie jednak staje tu brak gazomierzów, tak, że około 1.000 podań o założenie instalacji gazowej nie można uwzględnić. Produkowane przez krajowe fabryki gazomierze są jeszcze bardzo drogie (jeden kosztuje 3.500 zł.). W miarę uzyskiwania kredytów Gazownia zakupuje liczniki i dba o rozszerzanie sieci abonentów. Przed kilku tygodniami zapalono nowe piece, które wkrótce będą produkowały gaz tak, że gaz ziemny, jakiego dostawa jest bardzo kosztowna, tylko częściowo będzie pokrywał potrzeby produkcji pommimo, że jego wartość kaloryczna jest o wiele wyższa od gazu produkowanego w piecach (gaz ziemny 900 kalorii — z pieców 400—450 kalorii).

PRODUKCJA

Dzienna produkcja gazu wynosi obecnie 50.000 metrów. W ten sposób przekroczono produkcję przedwojenną o 30%. W r. 1939 przy pełnym stanie pieców osiągano przeciętnie 42.000 metrów. W r. 1947 po uruchomieniu dwóch nowych pieców osiągnie Gazownia produkcję 60.000 metrów. W rezultacie umożliwi to wykorzystanie gazu jako energii cieplnej w przemyśle.

ZAŁOGA

Załoga Gazowni liczy około 350 robotników. Rada Zakładowa, która wykazuje dużą aktywność, składa się z 9 osób, reprezentujących Polską Partię Socjalistyczną, Polską Partię Robotniczą i bezpartyjnych. Współpraca Dyrekcji z Radą Zakładową układa się pomyślnie. Widać, że długoletni dyrektor i długoletni robotnik, z którymi rozmawiam, zżyli się z sobą blisko, jeżeli w tak swobodny sposób „przypominają sobie nawzajem łatki", przekomarzając się na temat zasług wobec fabryki. Z inicjatywy Rady Zakładowej i Koła PPR ufundowano sztandar związkowy. Podczas uroczystości poświęcenia sztandaru odznaczono 60-ciu pracowników, którzy przepracowali 25 lat w Gazowni. Wśród odznaczonych znajduje się Bernard Mrożek i Teofil Warchał, którzy pracują w Gazowni ponad 46 lat. Przy Gazowni zorganizowano własną drużynę harcerzy oraz klub sportowy R. K. S. „Gazownia", który w ciągu roku rozegrał już kilkanaście meczów. Na uwagę zasługuje troska Rady Zakładowej i Dyrekcji o dzieci robotników. W czasie wakacji wszystkie dzieci skorzystały z kolonii na koszt zakładu pracy, spędziwszy lato w Bukowinie, w Zakopanem i Rabce.

W FABRYCE

Zwiedzanie Fabryki zaczynam w towarzystwie ob. Mrugacza i przewodniczącego Rady Zakładowej, ob. Bednarskiego, od laboratorium, mieszczącego się w sąsiednim budynku, które wyposażone jest we wszystkie odczynniki chemiczne. Tu pod kierunkiem długoletniego pracownika, Dra Dolińskiego, przeprowadza się analizę surowców gotowych oraz kontrolę samego procesu produkcji. W czasie okupacji ponad stu studentów pod kierownictwem Dra Dolińskiego, korzystając z tajnego nauczania odbyło tu praktyczne zajęcia w zakresie chemii. Na parterze poniżej laboratorium znajduje się duża biblioteka, licząca trzy tysiące książek. Wśród nich są także szkolne książki, pożyczane dzieciom robotników na przeciąg roku szkolnego. Przechodzimy wreszcie na teren samej fabryki. Na parterze rozsiadły się szeroko i wygodnie czarne ruszta generatorni. Ostry zapach siarkowodoru, szum motorów i czerwony blask ognia, błyszczący z tu i ówdzie ustawionych koszów z koksem, celem podgrzania rur, zagrożonych na skutek silnego mrozu w swej całości, to atmosfera, w którą nurzam się zaraz na wstępie, zdążając za swoimi przewodnikami. Przewodniczący Bednarski, jakby czytał z książki, tak gładko i mądrze tłumaczy mi proces produkcji. Po wąskich schodach dostajemy się na pierwsze piętro do generatorni. Tu wytwarza się gaz generatorowy z koksu. Ten wysokopalny gaz służy do utrzymania w komorach pieców koniecznej do produkcji gazu temperatury 1.200 stopni. W tej temperaturze bez dostępu powietrza w ciągu określonego czasu, przeistacza się węgiel w gaz świetlny, koks i smołę pogazową. Wspinamy się wyżej i znajdujemy się na szczycie pieców. Przez otwartą halę swobodnie dmucha mroźny wiatr. Ciągły przewiew ochrania robotników, zatrudnionych przy piecach, od zatrucia wyziewami gazu. Na moją prośbę młody, szczupły robotnik, o zapadłych policzkach, którego twarz, ręce i robocze ubranie pokryte są pyłem węglowym, „ładuje piec" to znaczy napełnia go węglem. Otwierają się z hukiem zasuwy i zsypuje się do pieca węgiel, przez dźwigi dostarczany na wyższe piętro, gdzie z kopców, teraz zlodowaciałych i pokrytych śniegiem, automatycznie, po otwarciu zasuwy, zsypuje się do pieca. Powstaje przy tym tuman kurzu i żar bucha z pieca. Robotnik reguluje drągiem rozmieszczenie węgla w piecu i zamyka go. Gaz, który powstaje, jest pełny zanieczyszczeń. Widzę go, gdy robotnik odkręca ujście. Jest brunatno-żółtawy. Odprowadzony przez ogromne rury do czyszczalni, ulegnie tam filtracji, tak, że dla oka stanie się niewidoczny. Koks i smołę pogazową odprowadza się do zbiorników przez inne przewody. Z czyszczalni maszyna ssąco-tłocząca ładuje gaz do zbiorników, skąd odprowadza się go wprost do okolic pobliskich, do dalszych zaś pod ciśnieniem, wytwarzanym przez kompresory. Zwiedzam cały kompleks budynków i hal maszynowych, wśród których kręcą się nieliczni mechanicy i robotnicy. Wprawnym okiem kontrolują stan produkcji i regulują pracę maszyn. Narzekają na ciężkie warunki pracy w wyziewach gazu. „Ale swoją fabrykę kochacie i tak?" — zwracam się do mechanika w granatowym berecie i niebieskim kombinezonie. „A któżby swojej fabryki nie kochał?" — odpowiada z szerokim uśmiechem, — „tylko żeby nas przynajmniej zaliczono do kategorii pracowników przemysłu ciężkiego" — dodaje z westchnieniem.

Oglądam jeszcze olbrzymie zbiorniki i udaję się do świetlicy Gazowni. Z przedsionka, w którym jest urządzona wzorowa garderoba, wchodzimy na piękną reprezentacyjną, dużą salę, o lśniącej posadzce. To sala imprez. W sąsiednim pokoju mieści się czytelnia pism i bufet. Popijając

grzane piwo, gwarzę z robotnikami, którzy po odbyciu służby, przybyli tu na kilka chwil odpoczynku. Wszyscy z wielkim szacunkiem zwracają się do ob. Mrugacza, tytułując go radcą. Tadeusz Mrugacz 12 lat pracuje w Gazowni i poznali w nim towarzysze pracy dzielnego człowieka. W czasie okupacji zorganizował on na terenie fabryki samodzielną grupę konspiracyjną, która przeprowadziła szereg akcji sabotażowych. Delegowany z ramienia P. P. R. do Miejskiej Rady Narodowej w r. 1945, pełni funkcje radnego do dnia dzisiejszego. Był kandydatem do Sejmu Ustawodawczego z listy Bloku również z ramienia P. P. R. Jest członkiem Rady Zakładowej i widać, że żyje tylko myślą o podniesieniu produkcji i poprawie bytu swoich współtowarzyszy pracy. Przystojny, jowialny, bezpośredni w obejściu, szafujący często udatnym dowcipem, widać, że jest lubiany przez wszystkich.

Z wizyty w Gazowni Miejskiej wracam, doświadczona jeszcze jednym dowodem ofiarnego, graniczącego często z heroizmem wkładu robotnika polskiego w dzieło odbudowy i rozbudowy przemysłu polskiego.

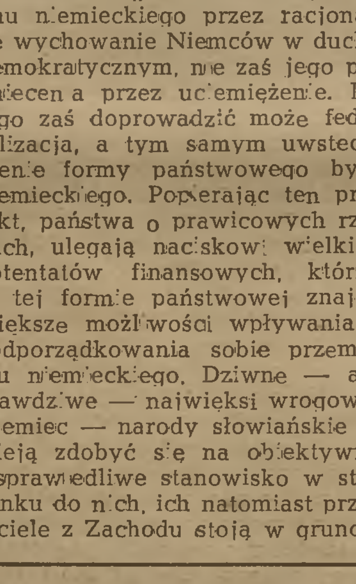
Irena Pancerz-Grabowska

Jak to właściwie będzie?

W wyniku toczącej się w Londynie konferencji zastępców ministrów spraw zagranicznych, w sprawie przygotowania podstaw do traktatów pokojowych z Austrią i Niemcami, można już skrystalizować poglądy niektórych małych państw na kwestię Niemiec. Zasadniczym problemem stała się tu sprawa formy państwowej Niemiec: czy mają być państwem scentralizowanym, czy też sfederalizowanym. Wedle stanowiska w tej sprawie uplasowały się państwa według tych dwu punktów widzenia w grupy, które by można nazwać z jednej strony państwami lewicowymi, z drugiej zaś prawicowymi. Do grupy pierwszej, która opowiada się za centralizacją Niemiec należy Czechosłowacja, Jugosławia i Polska, do grupy drugiej Belgia, Holandia, Brazylia, Kanada, Grecja, Norwegia i Afryka Południowa. Podobnie grupują się państwa, w sprawie granic Niemiec. Unia południowo-afrykańska wypowiedziała się zdecydowanie przeciw jakiejkolwiek próbie przyłączenia części Niemiec do słabszych państw sąsiednich, a popierają ją w tym Kanada i Australia. Żądania polskie uznania linii rzek Odry i Nysy za zachodnią granicę Polski popierają zdecydowanie Czechosłowacja i Jugosławia. Belgia i Holandia nie wypowiedziały się jeszcze w tej sprawie.

Stanowisko państw słowiańskich wobec kwestii niemieckiej zasługuje na uwagę. Te państwa, dla których Niemcy są odwiecznym wrogiem i najeźdźcą mimo, że najwięcej ucierpiały od Niemców w ostatniej wojnie, stają na słusznym i sprawiedliwym stanowisku, że Niemcy powinny być jednym organizmem państwowym. Państwa te prowadzone obecnie przez rządy ludowe pragną jedynie zabezpieczenia się przed niebezpieczeństwem niemieckim, doceniając równocześnie prawo narodu niemieckiego do swego bytu państwowego. Rozbicie Niemiec na drobne państewka ożywiłby musiało ducha Bismarcka i Hitlera. My pragniemy osłabienia i zniszczenia butnego ducha nacjonalizmu niemieckiego przez racjonalne wychowanie Niemców w duchu demokratycznym, nie zaś jego podniecen a przez uciemiężenie. Do tego zaś doprowadzić może federalizacja, a tym samym uwstecznienie formy państwowego bytu niemieckiego. Popierając ten projekt, państwa o prawicowych rządach, ulegają naciskowi wielkich potentatów finansowych, którzy w tej formie państwowej znajdą większe możliwości wpływania i podporządkowania sobie przemysłu niemieckiego. Dziwne — ale prawdziwe — najwięksi wrogowie Niemiec — narody słowiańskie umieją zdobyć się na objektywne i sprawiedliwe stanowisko w stosunku do nich, ich natomiast przyjaciele z Zachodu stoją w grunc e

ANGIELSKIE KŁOPOTY



— Bezczelność tych żydowskich terrorystów przechodzi już granice. Jeszcze krok, a nasza cierpliwość się skończy!

rzeczy na stanowisku dla Niemiec prawdziwie szkodliwym a przede wszystkim szkodliwym dla sprawy pokoju światowego.

*

Komisja O. N. Z. w Grecji, która bada stosunki, panujące na granicach przeprowadziła pierwsze bezpośrednie badania. Delegacja w skład której weszli przedstawiciele Anglii, Stanów Zjednoczonych, Związku Radzieckiego, Francji, Polski, Australii i Chin odwiedziła obóz osób wysiedlonych pod Pireusem i przesłuchała szereg jego mieszkańców. Rząd Grecki wspólnie ze swymi mecenasami angielskimi usiłuje obecnie stłumić ruch powstańców różnymi sposobami a także przez ogłoszenie amnestii. Tymczasem jednak szykuje nowe ataki na armię powstańców. Spodziewać się należy, że Komisja ONZ. podobnie jak Komisja parlamentarna angielska wyciągnie słuszne wnioski z obecnej sytuacji w Grecji, zalecając tam ponowne wybory i dopuszczenie lewicy do rządu. Żadna bowiem amnestia i inne obiecanki nie zdołają wyrzucić broni z rąk walczącego ludu greckiego o swą wolność — chyba uzyskanie tej wolności.

Sekretarz Generalny ONZ otrzymał wniosek amerykański o oddanie pod powiernictwo Stanom Zjednoczonym około 650 wysp na Pacyfiku. Wniosek został rozesłany członkom Rady Bezpieczeństwa. Wspomniane bowiem wyspy z archipelagów Mariańskich, Marshala i Karolińskich zdobyte przez Amerykę na Japonii mają przede wszystkim znaczenie strategiczne. Uzyskanie powiernictwa nad nimi przez USA przyczyniłoby się do poszerzenia baz wojskowych Stanów Zjednoczonych, których budowa zdaje się być pilnym zadaniem obecnego rządu amerykańskiego.

Minister Bevin wyjaśnił w Izbie Gmin przyczyny, dla których rząd Brytyjski przedłoży kwestie Palestyny Narodom Zjednoczonym. Palestynę zamieszkuje ok 1.200.000 Arabów i 600.000 Żydów. Żydzi zdążają do stworzenia suwerennego państwa żydowskiego, Arabowie zaś sprzeciwiają się utworzeniu państwa żydowskiego w jakiejkolwiek części Palestyny. Mandat nie daje Wielkiej Brytanii prawa przyznania Palestyny, czy to Arabom, czy to Żydom ani nawet prawa podziału kraju pomiędzy obydwa narody. Ostatnie propozycje brytyjskie wysunięte podczas rokowań przewidywały lokalne okręgi arabskie, bądź żydowskie, oraz rząd centralny w któ-

rym uczestniczyłby zarówno Żydzi jak i Arabowie. Imigracja żydowska wynosiłaby w ciągu następnych dwóch lat 4.000 osób miesięcznie. Propozycje brytyjskie bezwzględnie odrzucili zarówno Arabowie jak i Żydzi. Arabowie sprzeciwiają się imigracji Żydów twierdząc, iż przekreśla ona możliwości uzyskania przez Arabów niepodległości, sprzeciwiają się oni również utworzeniu państwa żydowskiego. Agencja żydowska uważa zaś, że utworzenie w Palestynie państwa żydowskiego jest jej zasadniczym celem. Czy ONZ znajdzie rozwiązanie tej sprawy w czym bezsilną poczuła się Anglia — przyszłość okaże.

I. P.

Literatura - Nauka - Sztuka

JERZY BROSZKIEWICZ

Renesans muzyki polskiej

Do dość patetycznego twierdzenia Hałdanka: „My Polacy wolimy żelazo", warto by w imię historycznej prawdy dodać dość uszczypliwą poprawkę: „My Polacy lubimy brąz". Tę poprawkę uzasadnił i unaocznił już Boy-Żeleński. A choć zajmował się wyłącznie, lub prawie wyłącznie sprawami literatury, to jednak nauczył wielu chętnych właściwego patrzenia na fakty.

Metoda Boya — wykorzystana przede wszystkim w studiach nad literaturą — powinna także wniknąć w inne dziedziny naszego życia umysłowego. Toteż dobrze się dzieje, że współcześni polscy naukowcy i publicyści przejęli się tezą Boya: „pozbywajmy się brązu". Ostatecznie megalomania najbardziej szkodzi megalomanom. Ostatecznie naszych potrzeb potrafimy się nauczyć wyłącznie na naszych brakach.

A zatem: jak jest w polskiej muzyce? Dzięki zdolnościom brązowniczym kilku pokoleń moglibyśmy nabrać pewności, że należy zazdrościć nam sytuacji. Niestety: rzeczywistość przedstawia się nie tak pięknie, ani tak sielankowo. Prawdą bowiem jest, że Polacy mogliby wielu narodom pozazdrościć ich sytuacji. No tak — mamy geniusza Chopina. Poza nim mamy Moniuszkę. Oto jeden z wybitnych talentów. Cóż dalej? Kilka świetnych a dokładnie zapomnianych nazwisk z XVII wieku. I do roku mniej więcej 1900 cisza. Lub raczej nieśmiałe a prowincjonalne próby zmienienia sytuacji na lepsze.

Prowincja — prowincjonalizm treści i prowincjonalizm formy. Oto największe groźby dla całej polskiej sztuki. Pomińmy — mówiąc o muzyce — wspaniałe nazwisko Chopina. Ale trzeba wiedzieć, że już Moniuszko ugiął się pod ciężarem królującego we współczesnej mu Polsce prowincjonalizmu. A zatem nic dziwnego, że pomniejsi jego następcy całkowicie nie wytrzymali próby. Nie wymienię nazwisk. Są one w tej chwili nieistotne, zresztą uczynił to już Stefan Kisielewski pisząc niedawno o t. zw. muzyce narodowej. Istotnym za to jest w każdym razie fakt, że do wieku XX tylko Chopin potrafił wprowadzić naszą muzykę w historię powszechną, że właściwie tylko on przezwyciężył złą tradycję zaścianka. Tak wygląda prawda pozbawiona brązu.

Jednak możemy sobie pozwolić — już bez obaw o brązy i wyznaczanie faktów — na pewną satysfakcję. Otóż pierwsze dziesiątki lat XX wieku mogą nauczyć optymizmu — jest to czas, w którym muzyczna „Młoda Polska" przystąpiła do pracy nad deprowincjalicją naszej sztuki. Mówiąc ściśle nie była to praca, lecz walka. Walka, ciągnąca się niemal po dziś dzień. Należy bowiem wiedzieć, że ludzie niedorośli do swych czasów we własnym interesie próbowali bronić zaścianku i nudy przed inwazją talentów i odwagi twórczej. Ci przedstawiciele muzycznego konserwatyzmu sprzed półwiecza, po dziś dzień usiłują odwracać bieg historii. Póki żył Karol Szymanowski utrudniali mu życie za pomocą wszelkich możliwych metod — od kampanii prasowej do oszczerstw i intryganctwa



Karol Szymanowski

włącznie. Dzisiaj znowu zabierają głos. Mniejsza zresztą o ten typ pracowników sztuki. Za 100 lat cytować ich będą conajwyżej biografowie Szymanowskiego.

Tak — sprawę wygrała muzyczna „Młoda Polska". Można śmiało stwierdzić, że okres jej działania to początek renesansu polskiej muzyki — to wyrównanie poziomu z tym, co nazywamy poziomem europejskim — to zerwanie z urokami prowincji, miłymi dla małych, groźnymi dla wielkich talentów. Należy jednak być ostrożnym. Afirmowanie sukcesów „Młodej Polski" i sukcesu jej następców mogłoby zostać uznanym za nową próbę brązownictwa. Czy słusznie?

Otóż można by mówić o brakach historycznego dystansu wobec poszczególnych kompozytorów tej epoki. Urok sztuki jednego z nich działa jeszcze po dziś dzień — myślę o Karolu Szymanowskim. Tym lepiej. Jednak spróbujmy wykluczyć problem wielkości i zasługi osobistej. Natomiast nie ulega najmniejszej wątpliwości, że „Młoda Polska" jest pierwszą grupą kompozytorów w historii ostatnich dwustu lat, która dopędziła Europę w posługiwaniu się techniką, w umiejętnościach formalnych, w sztuce rzemiosła artystycznego. Oto prawda bez brązu.

Istnieje pewne dość absurdalne wmówienie społeczne — nazwałbym je raczej wmówieniem aspołecznym, które zasadza się na lekceważeniu spraw formy w sztuce. Normalnie jest to skutek ignorancji. W Polsce działają nadto tradycje ideologii pozornie dyskwalifikujących sprawę formy — ideologii romantycznych i neoromantycznych. A zatem wmówienie jest tu szczególnie silne i odbiorca sztuki w Polsce rozpoczyna przeżywanie dzieła sztuki od wątków fabularnych, nastrojów t. zw. literatury w malarstwie czy muzyce, od działań emocjonalnych i aintelektualnych. Źle bardzo. Dzięki takim faktom wiele fałszywych karier zaciężyło nad polskimi tradycjami artystycznymi. Jednak daltonizm formy zostanie prawdopodobnie przełamany jeszcze w naszym stuleciu. Wypowiadam to twierdzenie z myślą o stuleciu ubiegłym, jako o determinacie: wbrew pozorom było ono wspaniałym okresem historii rzemiosła w sztuce. Okresy romantyzmu i modernizmu zwalczały wprawdzie pozornie formę. Ale formę wyłącznie, jako konwenans stylistyczny. W efekcie walka ta, proces rzekomo negatywny, przyczyniła się przede wszystkim do kolosalnego postępu nie w czym innym, jak właśnie w dziedzinie form, technik, rzemiosła.

Muzyczna „Młoda Polska" jest szczególnie konkretnym dowodem na rację takiego twierdzenia. Wpierw Karłowicz, potem Szymanowski wywołali w naszej muzyce już nie rewolucję, ale dokonali pracy o charakterze — powiedzmy —wulkanicznym. Dokonali rehabilitacji formy jako conajmniej współrzędnej zasady twórczej. Zastanawiająca jest w tym

procesie wszechstronność dokonań. Karłowicz, Różycki, Fitelberg i ponad wszystkich Szymanowski stworzyli niemal z niczego polską muzykę symfoniczną, odbudowali technikę instrumentalną, dali nową wokalistykę. W sumie spowodowali to co już nazwaliśmy renesansem polskiej muzyki.

Czy nazwaliśmy słusznie? Chyba tak. Obserwując dalsze losy muzyki polskiej — mimo już wyraźnej niemożności uzyskania dystansu — można przyznać rację takiemu terminowi. Raz jeszcze uchylam się od ewentualnego zarzutu brązownictwa i nie zajmę się sprawą jednostek w naszej muzyce współczesnej. Przedmiotem uwagi będzie to, co nazywamy sytuacją ogólną. I tu powrócę do zagadnienia formy, jako do zagadnienia naczelnego. Otóż rehabilitacja formy odbywa się w dalszym stopniu i to w świetny sposób: poziom metiér naszych kompozytorów na pewno nie ustępuje poziomowi metiér ogólnoświatowego. Można tu już jak np. w wypadku Palestra czy Lutosławskiego — mówić o mistrzostwie. Co więcej: nasza muzyka współczesna odpracowuje zaległości historyczne. Widać to dość wyraźnie w zwróceniu się ku kameralistyce, gatunkowi, stawiającemu bodajże najwyższe wymagania technice twórczej, także w pewnym smakoszowstwie instrumentacyjnym muzyki symfonicznej, czy choćby w tak częstym posługiwaniu się techniką polifoniczną. I chociaż na Zachodzie rozpoczął się już w pewnym sensie odwrót od wielkich form i szerokich aparatów wykonawczych to trwanie polskiej twórczości w tym klimacie nie nazwałbym opóźnieniem. Jest to po prostu utrwalanie zdobyczy ostatnich 4-ch dziesiątków lat, poszerzanie fundamentów pod nowy okres twórczy: pod okres renesansu muzyki polskiej.

Jerzy Broszkiewicz

Prof. KONSTANTY GRZYBOWSKI

Początki państwa

Nie wiemy, jak powstało pierwsze państwo kiedyś, w zamierzchłej przedhistorycznej przeszłości. Wiemy z tak wielkim prawdopodobieństwem, że można je uważać za pewność, jedno: kiedyś pierwotny człowiek żył bez państwa. Żył w drobnych grupach, rodzinach czy klanach, nie posiadał jeszcze, poza przedmiotami osobistego użytku prywatnej własności i nie wiedział nawet zapewne, co to jest taka własność. Wspólnie polował, później wspólnie uprawiał rolę (czyniły to pierwotnie zwykle kobiety), wspólnie spożywał i zużywał uzyskane produkty. Nie wiedział jednak ani co to rząd, ani co to rządzący, co to władza. Tak lub podobnie żyły, przed poznaniem ich przez Europejczyków, najbardziej pierwotne ludy świata i tak zapewne żyli nasi najdalsi przodkowie.

W pewnym momencie jednak — zapewne nie w jednym momencie, zapewne stopniowo i powoli, zjawia się w wzajemnym stosunku pierwotnych ludzi coś nowego. Zjawia się podział na tych, którzy rządzą — czyli mają „prawo" rozkazywać innym ludziom i na tych którzy są rządzeni, czyli są obowiązani słuchać. Ci, którzy rządzą, mają w swej dyspozycji środki „przymuszenia" innych do posłuszeństwa im, mają specjalny „aparat" czyli specjalnych, wyodrębnionych spośród ogółu ludzi, którzy na polecenie rządzących wymuszają na rządzonych posłuszeństwo dla woli rządzących. Czyli — zjawia się państwo.

Dlaczego? Ludzie już oddawna zadawali sobie to pytanie, skąd się państwo wzięło. Zadawali je sobie nie tylko z czystej ciekawości, ale z pewnym określonym celu. Wszak od odpowiedzi na to pytanie zależy w dużym stopniu odpowiedź na pytanie drugie: czy państwo jest rzeczą dobrą czy złą? Jeśli na przykład odpowiemy: państwo powstało z woli wszystkich jego władzy podległych, lub: państwo powstało z woli bogów lub boga — to państwo jest, w konsekwencji tej odpowiedzi czymś, zawsze i niezależnie od formy rządów, dobrym. Jeśli zaś odpowiemy: państwo powstało dlatego, że kiedyś pewna grupa ludzi podbiła inną grupę i nakazała jej sobie służyć, albo: państwo powstało dlatego, że pewna klasa społeczna potrzebowała go dla utrzymania swej władzy nad innymi — to wtedy już z tej odpowiedzi wynika, że państwo nie jest dla grupy podbitej, czy dla klasy wyzyskiwanej jakąś pozytywną wartością, że państwo jest — wprost przeciwnie — ich wrogiem.

TEORIA PODBOJU

Najwcześniejszą, długo popularną, stale co jakiś czas odżywającą, była teoria podboju. Sądzono, że kiedyś, w zamierzchłych czasach, na ziemie jakiegoś ludu przybył inny lud skądeś zdaleka, podbił dotychczasowych mieszkańców tej ziemi i kazał im sobie służyć. Teoria podboju była i mogła być popularna, gdyż wiele historycznych państw powstało w ten sposób. Najstarsze dokumenty i legendy egipskie mówią nam o „ludziach Horusa" (później boga egipskiego), którzy przybyli skądeś do Egiptu i podbiwszy miejscową ludność założyli państwo egipskie. Starożytni Grecy zachowali wiadomość o tym, że przybyli kiedyś do Grecji z dalekiej północy i podbili tych mieszkańców kraju, których zastali. W początkach średniowiecza, u schyłku cesarstwa rzymskiego mieliśmy wiele narodów, które tak wędrowały po świecie, szukając nowych siedzib i poddając sobie dotychczasową ludność zajmowanych przez siebie ziem. Wszak Anglia w ten sposób stała się terenem trzechkrotnych podbojów, w których następnie z Celtów, rzymskich osadników, Anglów, Sasów, Normanów powstał obecny naród angielski.

Teoria podboju nie wyjaśnia nam jednak pierwotnego powstania państwa. Wyjaśnia nam tylko, jak nieraz jedno państwo ginie, jeden naród zostaje wyniszczony a na jego miejsce powstaje nowe państwo i nowy naród. Wszak wszystkie podbijające jakieś ludy i zajmujące nowe ziemie narody, miały już organizację państwową — tylko dzięki jej posiadaniu mogły dokonać podboju; a i ludy podbijane, broniące się rozpaczliwie wobec najeźdźców były już państwowo zorganizowane.

TEORIA UMOWY SPOŁECZNEJ.

Druga z kolei, zwłaszcza w wieku XVIII popularna teoria była teorią umowy społecznej. Wedle niej jednostki, żyjące dotąd bez organizacji państwowej postanowiły w pewnym momencie połączyć się z sobą w państwo, zawarły ze sobą „umowę społeczną", by wyjść ze stanu „natury". Znowu — zdarza się niekiedy, że nowe społeczeństwo tak powstaje i daje początek nowemu państwu i tak np. pierwsi koloniści angielscy, już w drodze do Ameryki Północnej umawiali się ze sobą, wedle jakich zasad będą się rządzić. Ale nie znamy żadnego przykładu, by w ten sposób, w drodze jednomyślnej umowy wszystkich zainteresowanych, ludzie weszli ze stanu przedpaństwowego w stan państwowy. Teoria umowy społecznej jest fikcją. Fikcja ta odegrała doniosłą rolę historyczną, stała się bowiem podstawą twierdzenia, że skoro państwo powstało w drodze umowy, to wszystkim, jako wolnym kiedyś uczestnikom tej umowy, przysługuje niepozbywalne prawo określenia, kto i jak ma nimi rządzić, a więc stała się podstawą dla teorii demokratycznych. Ale żaden fakt jej nie potwierdza, nie mamy żadnego faktu, który by nam wskazał, że jakiekolwiek jednostki kiedyś tak utworzyły pierwsze państwo.

POGLĄDY MARKSA I ENGELSA.

Trzecia teoria, stworzona przede wszystkim przez Marksa i Engelsa, rozbudowana szeroko przez jego następców, widzi genezę państwa w powstaniu klasowego podziału społeczeństwa. Wychodzi z trafnego spostrzeżenia: państwo musiało powstać wtedy, kiedy zaszła jakaś istotna zmiana we wzajemnym stosunku jednostek do siebie, i to zmiana tego rodzaju, że pewne jednostki — pierwsi rządzący — potrzebowały pewnego „aparatu przymusu", by go móc stosować wobec innych jednostek. Kiedy więc — ujmując to samo zagadnienie z innej strony — powstała różnica z sytuacji dotąd równych jednostek, powstało nowe i odmienne „podłoże społeczne", którego „nadbudową" jest państwo.

Takie odmienne podłoże społeczne powstało wtedy, kiedy zaistniał podział klasowy. Pewne jednostki potrafiły od siebie uzależnić inne jednostki w ten sposób, że te inne jednostki musiały produkt swej pracy oddawać swym „panom". A więc —

zjawisko w zamierzchłej przeszłości częste — nie zabijano niewolników, lecz ich zmuszano do pracy. A więc silniejszy uzależniał od siebie słabszego, zręczniejszy wyprodukował więcej, niż potrzebował dla siebie i produkty swej pracy odstępował innym tylko wzamian za to, że ci na niego pracowali. Powoli, w ciągu wieków z pewnością, tworzył się w ten sposób podział na dwie grupy społeczne, które nazywamy „klasami społecznymi": jedną, która posiadała narzędzia produkcji, ziemię i drugą, która przy pomocy tych narzędzi i na tej ziemi pracowała dla tych pierwszych. By zaś móc zobowiązać pewne jednostki do tego, by stale, z istoty swej funkcji społecznej, pracowały na drugich — potrzeba pewnej siły przymusu — i tu jest początek państwa. Państwo zjawia się tedy przede wszystkim jako środek ucisku i przemocy przeznaczony do tego, by utrzymać stan rzeczy, w którym klasy społeczne są we wzajemnym konflikcie nie do pogodzenia.

Nie znaczy to, by dla teorii marksistowskiej państwo było tylko złem, i by każde państwo w tym samym stopniu było środkiem ucisku. W okresach, gdy technika produkcji była na niskim poziomie — podział klasowy był czynnikiem postępu. Ostrość ucisku w różnych epokach rozwoju państwa była różna. W państwie opartym na niewolnictwie była o wiele większa, niż w państwie feudalnym, gdzie obowiązki klas zależnych od panów feudalnych były określone, a jednostki przynależne do tych klas miały pewną wolność osobistą. W demokracji formalnej, czyli politycznej jednostki nieposiadające są nadal zależne gospodarczo od klas posiadających, ale mają formalną wolność i formalny wpływ na rządy państwem. W tym okresie jednak technika produkcji jest już posunięta tak daleko, że istnieje możność zaspokojenia wszystkich potrzeb bez konieczności istnienia podziału klasowego i odrębnego aparatu, mającego służyć dla utrzymania tego podziału — to jest państwa. Powstaje możność stworzenia zupełnie innego ustroju społecznego, który uczyni zbędną zależność człowieka od człowieka a więc uczyni, po pewnym okresie czasu zbędnym istnienie państwa. Jak podział klasowy zrodził państwo — tak jego zniesienie uczyni państwo zbytecznym.

Prof. Konstanty Grzybowski

WITOLD ZECHENTER

Kabała historii

Na marginesie książek: prof. Uniwersytetu Wrocławskiego Karola Maleszyńskiego „Bolesław Krzywousty", Tadeusza Kudlińskiego „Mantelupa" i Zofii Starowieyskiej-Morstinowej „Kabała historii".

Są książki, o których się pisze czy mówi, że „powinny się znaleźć w każdej czytelni", w każdej bibliotece. Są niewątpliwie takie — a do nich przybyła ostatnio praca **Karola Maleczyńskiego,** znakomitego historyka, profesora Uniwersytetu Wrocławskiego, pod tytułem **„Bolesław Krzywousty — zarys panowania"**. Trudno chyba o aktualniejszą książkę. Polska Krzywoustego, mieszcząca się mniejwięcej w granicach Polski dzisiejszej, sięgająca nad Odrę i Nisę na zachodzie, po San i Bug na wschodzie, ta rdzennie polska ziemia, dziś w całości będąca naszą, po tylu wiekach powróconą z zachodnimi ziemiami, jest nam bliska, zrozumiała, wiadoma. A jednak jakże czyta się tę monografię historyczną — napisaną zresztą bardzo potoczyście, gładko, prawie powieściowo — jakże czyta się wciąż z zadziwieniem. Jesteśmy tak przyzwyczajeni do nadbudów kłamstw historycznych, tak bardzo przesiąknięci preparowaną wiedzą stuleci, że z radością konstatujemy, ile razy historia prawdziwa, oparta na faktach i źródłach powie nam: tak, to naprawdę było wasze. Tak, to naprawdę była Polska! Upoić się można taką lekturą, zacierać ręce z radości, gdy polski uczony spokojnie, równomiernie, stonowanie pisze o wszystkich tych nazwach, które dla nas dzisiejszych, wciąż jeszcze są nowe. Prof. Maleczyński nie polemizuje, nie zwalcza, nie atakuje — nie potrzebuje tego. On tylko opowiada, jak było. I to wystarczy. Książka o Bolesławie Krzywoustym to lektura dla całej Polski dziś jakże aktualna i wartościowa, a dla Ziem Odzyskanych — jedna z cegieł ich polskiej przebudowy i odbudowy. W powojennym dorobku Wydawnictwa Księgarni Stefana Kamińskiego w Krakowie jest jedną z najcenniejszych pozycyj. Urzeka jak kabała ta sprawiedliwość dziejów jaką na przestrzeni nie lat ale ich setek, obserwuje badacz historii. Wróciliśmy, gdzie byliśmy i gdzie zgodnie z prawem pozostaniemy. Tę kabałę kłaść poczęły ręce historii w odległych czasach piastowskich — i kabała wyszła, ale nam dzisiaj dopiero. I już na zawsze.

Do tego wyjścia czarodziejskich kart kabały historii szło się ciężko. I cały naród szedł ciężko i poszczególni ludzie. O takich właśnie poszczególnych ludziach, którzy ku nowej Polsce szli przez piekło okupacji, opowiada **Tadeusz Kudliński,** autor kilku przed wojną powieści historycznych, w swym wspomnieniu **„Mantelupa"** (skład główny w księgarni „Czytelnika" w Krakowie). Cóż to jest ta „Mantelupa"? Określenie dobrze znane wszystkim Krakowianom i tym dziesiątkom tysięcy Polaków z całej Polski, którzy przeszli (a iluż z nich tam śmierć znalazło) przez jedną z niemieckich kaźni okupacyjnych, więzienie gestapowskie na Montelupich w Krakowie.

Kudliński daje barwne, żywe wspomnienie z swojego tam pobytu. Rysuje wyraziście i bez patosu, bardzo prawdziwie typy, z jakimi się spotkał na wspólnej celi, odnawia myśli, rozmowy, zdarzenia, których małoważność urastała nieraz za kratami do wielkości wydarzeń historycznych. Kudliński jest człowiekiem głęboko religijnym, wiele więc momentów „Mantelupy" odnosi pod nadzór i do wglądu innych, nieziemskich potęg, którym daje moc sądzenia i rządzenia. Nastrój ten potęguje cytatami z norwidowskich listów, brzmiących patosem i patyną ksiąg świętych. Można zgadzać się lub nie z tą transpozycją rzeczywistości w bezmiar wiary i retransmisję tejże rzeczywistości ze źródeł utajonych w tej wierze — w każdym razie podkreślić trzeba szlachetny ton książki, która wybrała sobie inną drogę działania, niż to przeważnie spotykamy w opisach i wspomnieniach hitlerowskich kaźni. To, co istotne, dzieje się bowiem u Kudlińskiego na wewnątrz, w duszach więźniów i ma tylko swój odblask zewnętrzny. Kudliński nie sili się na przedstawienia nadzwyczajności, niebywałości, nie stopniuje grozy, nie lubuje się w wywoływaniu wstrząsów, dreszczów, nie opisuje okrucieństwa zbrodni dla samego opisu realistycznego tych niezrozumiałych dla normalnego umysłu wypadków, jakich areną była „Mantelupa" i wszystkie inne niemieckie więzienia i obozy. W pastelu, jakim się posługuje, wyrastają typy widziane raczej duchowo niż fizycznie, chociaż w opisywanych postaciach odkrywamy doskonale podpatrzone rysy, jeśli napotykamy na wspólnego znajomego (n. p. „Kwiatek" — młody literat krakowski Tadeusz Kwiatkowski, który przebywał razem z Kudlińskim w tej samej celi). „Mantelupa" jest kawałkiem historii polskiej z okresu pisanego zarazem przez krwawy bagnet gestapowca i nieugiętą, nieśmiertelną polskość nieraz zupełnie przypadkowych, szarych typów. Gdy czyta się wspomnienia z obozów, gdy czyta się „Mantelupę" Tadeusza Kudlińskiego, widzi się znowu historię, która kładzie kabałę — kładła ją Niemcom i kładła ją nam, ale — zgodnie z sprawiedliwym tokiem spraw — kabała ta nam wyszła, nie im — nam, którzyśmy siedzieli po tych wszystkich „Mantelupach", cierpieli w nich i ani na chwilę nie stracili wiary w ostateczne zwycięstwo, w nieśmiertelność Polski.

Czarująca jest książka, która dała mi tytuł do niniejszych ocen kilku nowości krakowskich. To **Zofii Starowieyskiej-Morstinowej „Kabała historii"**. Do jakiego gatunku literackiego zaliczyć to dzieło? Nie wiadomo. Jest to cykl rozważań, pisanych, notowanych na gorąco podczas srogich i czarnych lat okupacji. Starowieyska-Morstinowa zestawia w nich nieśmiertelne aspekty piękna z przemijającymi chwilami brutalnej przemocy, zbrodni, nieszczęścia, ohydy, ciemności i rozpaczy, w jakich tkwił naród w tych latach okupacji. Wspomnienia piękna, widzianego, odczutego, przeżytego w życiu mieszają się w duszy pisarki z tym, co widziała aktualnie. Blask nieprzemijających wartości poezji i sztuki kładł się na czarnym tle niemieckiej zbrodni. Te jasne wspomnienia, głównie z wielkiego świata klasycznej sztuki i literatury wło-

skiej, podtrzymywały i umacniały, kazały wierzyć, że złe jest przejściowe, a dobre — jak piękno — trwa wiecznie, ale poza tym nasuwały owocne refleksje, których by nie wywołały w jakimś okresie normalnym. Autorka wyczuwała nieśmiertelność istnienia najszlachetniejszych doznań i zdobyczy ludzkości tak silnie na tle kontrastu z niemiecką, okupacyjną rzeczywistością, że dało jej to asumpt do wytworzenia jak gdyby filozofii rzeczy wielkich i szlachetnych, nie uginającej się pod chwilowym brzemieniem rzeczy strasznych i złych. Jest to ta sama filozofia, która w męczarniach gestapowskich z szarych, przeciętnych śmiertelników czyniła nieraz nadludzkich bohaterów — ujrzeli bowiem swoje nic, nic jednostki wobec zagadnienia całości, zrozumieli, że są małym ogniwem w olbrzymim łańcuchu, i że brak tego ogniwka nie zostanie nawet przez całość zauważony. Ponad nim zaś istniała wielkość nieśmiertelności ojczyzny, wielkość idei, której służyli, wielkość uczucia, które należało uszanować wbrew rozkazom prężącego się w torturze ciała, wołającego o zakończenie męczarni za wszelką cenę. W głęboko poetycznym obrazie „Kabały historii" ta nuta stosunku drobiazgu, jakim jest jednostka, do ogromu, jakim jest całość, występuje z dobitną, a subtelną zarazem wyrazistością. Rzucenie obrazu okupacji na jasne tło włoskiej sztuki daje efekt zadziwiający, oryginalny, krzepiący wobec przemijającej udręki. „Kabała historii" (wydana bardzo starannie, w efektownej barwnej obwolucie, przez Spółdzielnię „Nauka i sztuka" i Księgarnię Stefana Kamińskiego w Krakowie) jest kopalnią myśli, jest pobudzającym do indywidualnych rozważań zbiorem refleksyj i obrazów, którym piękna dodaje naprawdę niezwykle szlachetny styl autorki, proza bogata w poetyckie właściwości, przeplatana cytatami z nieśmiertelnych strof, obfitująca w akcesoria piękna literackiego wysokiego poziomu. Trafnie zestawione wypadki z historii średniowiecznych Włoch grają w konteście z rzeczywistością, w której pisała te notaty autorka. Jako historia duszy z przygniatającego okresu okupacji jest najnowsza książka Starowieyskiej-Morstinowej również historią okresu, który tak niedawno przeszedł naród, a zestawienie faktów wskazuje, że jednak dobro i sprawiedliwość zwyciężą, jeżeli nie na przestrzeni pokolenia, to na przestrzeni epoki — a czymże wobec nieśmiertelności zagadnienia narodu i ojczyzny jest pokolenie! Historia stawia kabałę — i znów stwierdzić musimy, że nam ta kabała wyszła i każdy Polak, każdy człowiek dobrej woli winien dziś jedynie uważać na to, by wyniku tej kabały nie zmarnotrawić, nie zaprzepaścić, nie zagubić w poświęcaniu rzeczy nieśmiertelnych na dorywczym ołtarzu rzeczy znikomych, drobnych, jednostkowych. I na zakończenie jeszcze jedna uwaga: książka Zofii Starowieyskiej-Morstinowej nie jest książką tylko do przeczytania — jest książką do biblioteki domowej, podręcznej, bliskiej, gdyż niejeden raz chętnie się do niej wróci.

Witold Zechenter

„Kalendarz Warszawski" na r. 1947

str. 300, Wydawnictwa Tow. Gniazd Sierocych, nakł. Sp. Wyd. „Horyzont".

Powrót do życia zniszczonej Warszawy nie jest zdarzeniem jednorazowym. Dokonuje się on stale, dzień po dniu, małymi lecz zwycięskimi etapami. Dobrze jest jednak, po długim szeregu pracowitych miesięcy, pozwolić sobie na przegląd dotychczasowych osiągnięć i podsumowanie wyników. Okazję taką przyniósł Nowy Rok. Na półkach księgarskich ukazał się Kalendarz Warszawski na rok 1947, wydany przez towarzystwo Gniazd Sierocych w Krakowie, przynoszący, oprócz tradycyjnej zawartości kalendarza, niezwykle obfity materiał, który może ułatwić każdemu orientację w życiu odbudowującej się Stolicy. Mam tutaj w pierwszym rzędzie na myśli starannie opracowaną kronikę. Zawiera ona, w porządku chronologicznym, wszystkie ważniejsze daty, związane z odbudową Warszawy od stycznia do września 1946 roku. Zestawione tam fakty i liczby nie potrzebują komentarzy. Świadczą wymownie, jak wielką jest energia, jak silną jest wola naszego narodu i czego, skromnymi nawet środkami, zdołała już dokonać. Kronika notuje skrupulatnie każdy odnowiony, oddany do użytku blok mieszkalny, każdą oczyszczoną z gruzów ulicę, każdą nową linię tramwajową. Z kroniki dowiadujemy się, że na rozrost Warszawy składa się wysiłek miast i wsi całej Polski, trudności powojenne nie zdołają tego wysiłku osłabić. Dlaczego — wyjaśnią nam ciekawe prace z zakresu życia gospodarczego, pokaże statystyka, która przynosi dokładnie opracowane dane dotyczące ludności i obszaru Państwa.

Kalendarz Warszawski ma jeszcze jedną dla nas niespodziankę: to historia udziału Polaków w minionej wojnie. Dzieje formacji polskich walczących u boku Anglii opracował St. Strumph Wojtkiewicz. Słabiej wypadło omówienie frontu wschodniego, a to dlatego, że ujęte zostało w charakterze luźnych wspomnień, bardziej literackich niż historycznych. I wreszcie front trzeci — front krajowy — którego dzieje streszczone zostały w dokładnym, powiedziećby można „prawniczym" wyliczeniu metod hitlerowskiego terroru. Znajdziemy również ilustrację literacką: kilka szkiców, usiłujących oddać prawdziwy obraz największej w dziejach narodu naszego tragedii — Powstania Warszawskiego.

Kalendarz jest wydany i opracowany z pietyzmem. Strona graficzna bez zarzutu. Na specjalną pochwałę zasługują piękne fotografie Starego Miasta i planowanych fragmentów Warszawy Przyszłości. Prócz tego czytelnik znajdzie bogaty materiał obrazujący najważniejsze wydarzenia z czasów wojny i z życia powojennego Polski i świata, starannie zestawiony i skomentowany.

Kalendarz Warszawski jest książką godną przeczytania i umieszczenia na półce biblioteki świetlicowej, nie tylko ze względu na zawarte w nim pożyteczne informacje, lecz także dlatego, że przedstawia on wartość pamiątkową, jest świadectwem najtrudniejszego, lecz także już owocnego okresu odbudowy Państwa.

W. S.



Czesław Jankowski: „Kulig".

CELEM UNIKNIĘCIA PRZERWY W DOSTAWIE PISMA PROSIMY O REGULARNĄ WPŁATĘ PRENUMERATY I CZYTELNE PODANIE ADRESU.

ADAM WŁODEK

WIERSZE

INACZEJ

Karabin kwitnął mitem. Na spotkanie mu biegłem.
Wybuchy, kołysząc ziemię, sprężały każdy mój skok.
Lecz w dymach płonącej wsi
nie słyszał wołania nikt.
Za mało było broni. Nie odstąpił jej nawet poległy.

To wtedy z tyraliery wysłana ku mnie kula
ciepłe, czerwone sznurki przewlokła przez ucho —

Ostry pocisk wyostrzył mi słuch.
Dlatego może — inaczej
słyszę teraz każdą krew — —

ROZRACHUNEK

Wspomnienie z września 1939.

Wreszcie!
W rękach kołysze się chleb
Wychodzony, wymarzony jak wiersz...
— Zjem!

Wtem jak strzał suchy: przechodzącego głos
i jego dłoń wyciągnięta!

Najtrudniej przełamać siebie,
lżej kromkę na dwie części.
W dymie dróg — kurzu kadzielnic,
już nie ty prosisz.
Mój tylko szept: weź —

... i pozwól nareszcie zapomnieć,
że wczoraj do innych ust
nie zbliżyłem jak serca — manierki.

NAJCICHSZY SZTANDAR

Pamięci kolegów — rozstrzelanych w ulicznych egzekucjach w Krakowie.

Nie przychodzę z tarczą,
was — cicho w głośnej salwie padłych — na tarczy nie złożę.
Lecz zakrwawiona przykopa pod płotem
przebić się musi przez wiersze
trwalszym niż termopilski — wąwozem.

Nim ziemia wejdzie w każdą wdeptaną w błoto rudą plamę,
— obraz w pamięci dno, jak krzyż w grób, ciężko wrósł.

Pochylam się przed najcichszym,
choć wszystkich myśli sztandarem:
— na płocie z gwoździa zwisa
żałobnie
zawieszony kulą mózg.

FRAGMENT

Ponad drutami obozu
czerwień wieczórnej zorzy.
To z coraz cięższych obrotów ziemi — krew
na niebo spływa.

Tam znów na zawsze widzę: wepchnięty w samochód człowiek,
milczeniem mej pomocy daremnie wzywał...
(— ostatnim krzykiem głośniej się z ciszy przed salwą
wyplączel)

Wszędzie zbierają plon
roje karabinowych pszczół —

Kraj krwią — nie miodem płynący.

DO PRZYJACIÓŁ ŻYDÓW

Rozstrzeliwano ludzi. Rozstrzeliwano słowa.
I nawet wzrok i słuch wspólny — przemykał się pochylony.
Lecz milcząc, bruk krwią podmyty i śmierć złożoną w sterty
na rogach ulic i placów — zapisaliśmy na pamięć.

Przesypywane wystrzały brzęczały jak wyliczanie
monet. I dźwięk ten dzisiaj błądzących kołysze znów słuch.
Więc rozważając, i wznosząc pomniki krzywdy ludów,
widzimy ów najdroższy po wrogich latach ślad.

Nie znamy narodów wybranych. I myśl ku myśli kłoniąc —
przerzućmy nad szelest banknotów, ponad kramarski wrzask,
dłoni braterskich podanie. Pod szelest i wrzask — dynamit!
Rozsadźmy sporny stragan ostatni — wasz i nasz.

W WARSZAWIE

Do przyjaciela — poety

Śnieg — jak jabłoni w maju kwiat — opada
na dom podcięty. Na zmięte żelastwo.
Mówisz: tu miasto było... Lecz wzrok bliżej kładę;
słyszę, jak myślisz: tu jest! — Twoje. Miasto.

Uparcie wygrzebujesz spod mokrych gruzów rym.

I wierzysz. Chcesz pokazać ulic wytrwały przepych.
Rozwijasz więc tramwajem — zwaloną Marszałkowską.
I przekonałeś. Bo niski wozu strop
nakrywa — zwisłą nad życiem — ruin codzienną troskę.

Że już na pierwszych piętrach wyrwy przechodzą w niebo,

O obłok myśl opierasz. Zamyślony — nie widzisz,
jak każdy załom wygina rumowisk podartą wstążkę...

Napiszesz wiersz. O ruchliwym jak wiewiórka księgarzu,
z którym tak szukaliśmy zagubionych kart książki.

Grudzień 1945

DO POEZJI

Po co rysować tęsknotę i jej profilem się wzruszać,
odmieniając, nazywać ciągle te same sny —
gdy stu myślom nareszcie wspólne trzeba dać imię!

Że wiersz mój, gdy idzie do ciebie, jest czasem tak szeroki,
to tylko po to, by zmierzyć mógł więcej niż dwoje ramion;
dla wielu ludzi tak długo ważę słowa, kreślę i zmieniam!
Tym silniej — piękna moja — w ostatecznej przygarnę cię wersji.

Wierszem: melodią i pięścią, o duże walczy się życie.

NOWYM SŁUCHEM

Długo już dniom przewodził trudny i wąski czas,
słowa, gdy wybuchały, to tylko oddechem działy;
— podmieniamy słowa prawami przyszłego czasu!
By nie ścierać już nigdy rdzy z wojennego żelaza,
nie rozpalać żelaza do żaru żywej krwi.

O szczyty nowych domów zaczepiać bujną zieleń:
gdy wieńczą pracę człowieka — gałęzi szum tłumaczyć.
Tłumaczyć nowym słuchem — słowika, gdy nagina
wraz z melodią gałęzie wieńczące wytchnienie człowieka.

Z teatrów krakowskich

TEATR OBJAZDOWY T. U. R.: „Świętoszek" Moliera.

„Świętoszek" Moliera jest niewątpliwie jednym z najznakomitszych utworów genialnego komediopisarza francuskiego. W galerii charakterów, od których roi się w molierowskim teatrze — Tartuffe jest jedną z postaci najsoczystszych, najbardziej psychologicznie wykończonych, co więcej, stanowiących swoisty dokument socjologiczny i obyczajowy. Przy tym jest to komedia kreślona — jak rzadko które z arcydzieł Moliera — z taką pasją, z takim wewnętrznym żarem oburzenia, że — znajduje się ona już na pograniczu nowoczesnego dramatu. Jakże nie wiele brakuje do tego, aby cała ta historia rozgrywająca się przed nami, zamieniła się w ponury, niemal ibsenowski dramat? Jesteśmy o włos od tragicznego triumfu obłudy, który mógł wykoleić cały ten beztroski, uśmiechnięty i różowy światek, tak bardzo naiwny i bezbronny wobec pobożnego kłamstwa jak jest nim Orgon. Zbyt bolesne to sprawy dla Moliera i zbyt osobiście go dotykające, aby mógł się zawahać przed domieszaniem do lazurów swojego farsowego uśmiechu odpowiedniej porcji żółci. Lecz geniusz rasowego pisarza strzeże go przed niebezpieczeństwem zatraty artystycznego umiaru. Przy całej powadze problemu, przy całej odwiecznej ważności społecznej zagadnienie przestaje być komedią Moliera prawdziwą komedią, z całym jej pysznym komizmem sytuacji i charakterów.

„Świętoszek" wydaje się dzisiaj trudnym do inscenizacji. Trudności stwarza przede wszystkim postać tytułowa, na pozór jednolita, ostra i wyraźna w swoim rysunku psychologicznym, w gruncie jednak dość skomplikowana i kryjąca w sobie nieprzewidziane tajemnice charakteru ludzkiego. Bo przecież ten świętoszkowaty obłudnik, ten łotr bez najmniejszych skrupułów, musi zapewne posiadać swoisty czar osobisty i siłę indywidualności, skoro potrafił tak ujarzmić zarówno Orgona jak i panią Pernelle — i to mimo swoją — wyraźnie podkreślaną w tekście — szpetotę fizyczną. Po drugie, nowoczesny psychologizm nie chętnie widzi tak jaskrawe stawianie charakterów. Psychologiczny i społeczny problem hipokryzji jest dziś dużo bardziej zawiły, nie tak łatwo uchwytny, lepiej zamaskowany. Dlatego za jedynie właściwe współczesne ujęcie scenicznie można by uważać konsekwentną groteskę i to posuniętą do ostateczności, bodaj aż do wydobycia jakiegoś baśniowego irracjonalizmu charakterów, tkniętych obłędem zakłamania i obłudy z jednej strony, a głupstwa z drugiej.

Inscenizacja dr Jerzego Ronarda-Bujańskiego jest raczej niejednolita i stosunkowo mało odważna. Słuszne i nie szkodzące całości są skróty techniczne jak ściągnięcie sztuki w 3 akty („Świętoszek" pierwotnie napisany właśnie w 3 aktach, później i ostatecznie otrzymał ich 5) czy obcięcie konwencjonalnej i koniunkturalnej, organicznie nie zrośniętej z całością sceny końcowej. Natomiast koncepcji artystycznej brak, śmielszej jednolitości tonu. Obok dobrze opracowanej groteskowości niektórych elementów sztuki (ciekawie ujęta postać Orgona) — akademicki realizm oprawy scenicznej (usprawiedliwiony poniekąd „objazdowym" charakterem przedstawienia, narzucającym ustawność i celowość dekoracji) zarówno jak i realizm tonu przedstawienia, w którym uczestniczące postacie nieraz zbyt na serio biorą rozgrywaną przez siebie sprawę. Sama kreacja tytułowa Jerzego Ronarda-Bujańskiego bardzo inteligentna, doskonale opracowana i przeprowadzona w szczegółach, po prostu wzorowe studium aktorskie — jest jednak raczej nienowoczesna, za mało skomplikowana wewnętrznie i wskutek tego zbyt chłodna. Ogólny poziom aktorski przedstawienia bardzo poprawny i przede wszystkim wyrównany. Ponad ten dobry poziom wybili się — nie wspominając już o odtwórcy Tartuffe'a — Jan Ciecierski, kótry trafnie podkreślił o swojego Orgona jego głupotę, Stanisława Plaskowska-Orzechowska ruchliwością i temperamentem oraz Marta Stebnicka, która swoim wdziękiem i urodą mogłaby nie tylko świętoszka, ale i naprawdę świętego wyprowadzić z równowagi.

Całość pożyteczna i godna pochwały, zwłaszcza zważywszy propagandowe i popularyzatorskie zadania, jakie w pierwszym rzędzie stawia sobie teatr objazdowy.

Henryk Runicz

STARY TEATR: „Promieniści" — K. Grzybowskiej.

Ambitny wybór tematu. Sztuka z życia uniwersyteckiej młodzieży wileńskiej z okresu studiów Adama Mickiewicza. Z zamiaru tego pozostał właściwie tylko tytuł, gdyż nie historia Promienistych, lecz osobisty dramat Maryli Wereszczakówny, zmuszonej do małżeństwa z niekochanym człowiekiem, jest osią, wokół której skupiają się zainteresowania autorki. Przy zmianie tytułu w kierunku zacieśnienia jego zakresu, uniknęlibyśmy tego nieporozumienia, nie oczekiwalibyśmy niczego więcej prócz „sprawy Maryli" i jej białego małżeństwa. Przyznać trzeba, że autorka sporo ma tutaj do powiedzenia. Pozwalając nam śledzić końcową fazę stosunków wzajemnych Mickiewicza i Maryli, Grzybowska podejmuje się obrony swej bohaterki, uzasadnia psychologicznie jej zamążpójście, zaopatruje trafiającym nam do przekonania komentarzem. Drugą osobą którą oglądamy w nowym świetle, jest mąż Maryli, hrabia Puttkamer, po macoszemu potraktowany przez tradycję, niesłusznie zepchnięty do roli „księcia małżonka". Był to człowiek niewątpliwie zasługujący na uwagę. Romantyk — przez głęboko odczuwaną potrzebę przemian i pozytywista zarazem — przez metody ich realizacji. Oprócz tych dwóch, na plan pierwszy wysuniętych postaci, spotykamy kilka jeszcze „historycznych" osób: poety Odyńca, duchowego przywódcy młodzieży — Zana, przyjaciółki Mickiewicza — doktorowej Kowalskiej. Ich obecność na scenie nie wnosi nic nowego do dotychczasowej o nich wiedzy; kontentujemy się tym, że dobrze znani nam ludzie szkitowane są żywo i trafnie. Lecz ani owa trafna charakterystyka osób, ani sugestywnie odtworzony klimat środowiska nie mogły uchronić sztuki przed usterkami. Chwilami, między jednym a drugim epizodem, zainteresowanie widowni przygasa. Akt drugi nie wnosi nic nowego do akcji. Chwilami autorka posługuje się łatwym do uniknięcia szablonem literackim. Takie np. „patrzenie w okno", słuchanie wyjącego wiatru, nie wywołuje u dzisiejszego widza emocjonalnego oddźwięku. Zbyt łatwym również efektem scenicznym jest pokazanie samego Mickiewicza w końcu aktu drugiego. Nikomu niepotrzebna kropka nad i — niczego sobą nie wyjaśniająca. Te jednak wady nie mogą zmienić ostatecznego sądu o sztuce: jest ona ciekawa i wartościowa. Poparta dobrą grą artystów ze znakomitym Ludwikiem Solskim, w roli obłąkanego szambelana, na czele i oprawiona naprawdę pysznymi dekoracjami A. Stopki, będzie miała zasłużone powodzenie.

Wisława Szymborska

TEATR KAMERALNY T. U. R.: „Rozbitki", komedia Józefa Blizińskiego.

Bliziński był specjalistą od typów szlacheckich i ziemiańskich, które z upodobaniem urodzonego satyryka przedstawił w kilku komediach. Wśród nich „Rozbitki" nie są najlepszą. Ta sztuka z lat siedemdziesiątych czy osiemdziesiątych utrzymuje się jednak w repertuarze nie tylko dlatego, że jest dobrym obrazem ówczesnego ziemiaństwa polskiego, lecz przede wszystkim dlatego, że ukazuje kilka typów, mających już ustaloną sławę w dziejach aktorstwa polskiego. Szambelan i Hrabia, Łechcińska, wzbogacony kupiec-ziemianin i były dependent-ziemianin Strasz — to nieśmiertelne role najwybitniejszych aktorów.

Wydźwięk społeczny „Rozbitków" w dniu dzisiejszym jest już o tyle słabszy, że ludzie, przedstawieni przez komediopisarza, odeszli całkowicie do lamusa przeszłości, niemniej jednak dobrze jest przewietrzać tę — bądź co bądź jeszcze nie tak daleką — przeszłość i to pod kątem trafnej, dotkliwej ale nie przesadnej satyry, z pewną łezką i sentymentem cechującym Blizińskiego i z jego optymizmem co do przyszłości reprezentowanej, przez młode pokolenie, występujące na scenie.

Przedstawienie w Teatrze Kameralnym było doskonałe W reżyserii Marii Dulęby stara ta komedia nabrała nowych rumieńców, a najmłodsi aktorzy jak n. p Szczepkowski, Colonna-Walewska czy Sznerówna wykazali zastanawiające postępy. Przede

wszystkim jednak zwracał uwagę kwintet pysznych typów, świetną w każdym szczególe Gella, spokojny i trafny Orzechowski, wystudiowany w każdym geście i mimice Brodzikowski, wzbudzający zasłużony śmiech, prawdziwie komediowy Walter i na ich czele Leszczyński w jednej z swoich klasycznych ról (Strasz). Prawie całkowicie wypełniony przez niego akt III stanowi niezwykłe w umiarze a jak że pełne studium aktorskie pijanego. Chciałoby się rzec: Patrzcie, patrzcie młodzil może to już ostatni... W dużym stopniu bowiem Leszczyński jest jednym z ostatnich aktorów wielkiej epoki teatru polskiego i spadkobiercą najlepszych wzorów aktorskich wielkich [illegible] teatru okresu Pawlikowskiego i Kotarbińskiego. Przedstawienie ze wszech miar udałe. Z prawdziwą radością obserwujemy w tym sezonie doskonały poziom i piękne wyniki Teatru TUR'u.

w. z.

TEATR LALKI I AKTORA „GROTESKA": „Złota rybka", baśń marionetkowa w opracowaniu Wł. Jaremy.

Pełne czaru przedstawienie „Złotej rybki" jest drugą w tym sezonie premierą wskrzeszonego teatru marionetek „Groteska". Trudno byłoby skrytykować cośkolwik w tym prawdziwie udałym przedstawieniu, które dla dzieci i starszych daje niezrównaną radość i zabawę subtelną i pełną wrażeń prawdziwie artystycznych.

Wymieńmy więc tylko po kolei: kapitalne lalki Zofii Jarema, świetnie podłożoną muzykę Stefana Kisielewskiego pełną wdzięku, dowcipu i nastroju, pomysłowe dekoracje Ali Bunscha i niezwykłe osiągnięcia techniczne wykonawców poruszających laleczki nienagannie przy zastosowaniu bardzo trudnej techniki, skomplikowanej reżyserii, bogactwa szczegółów i szczegółików. Sceny takie jak balet rybek złotych, zespół kapitalnych zwierzątek, jazda bohatera sztuki Maciusia z królewną na piecu, pochód wojska kralewskiego — pozostaną na długo w pamięci.

Przedstawienie takie jak „Złota rybka" mogłoby być i powinno być celem wycieczek szkolnych z okolicy Krakowa. Kierownicy szkół leżących w okolicy Krakowa mogliby postarać się o to w porozumieniu z dyrekcją „Groteski", a dadzą dzieciom niezapomniane przeżycie, wkraczające bardzo wybitnie w sferę skutecznych doznań artystycznych.

Wysoki poziom literacki „Groteski" zagwarantowany jest również na przyszłość przez objęcie roli kierownika literackiego w tym sympatycznym teatrzyku przez znanego literata, autora „Lunaparku" Tadeusza Kwiatkowskiego. Wspomnieć tutaj wypada również o bardzo dobrym zespole orkiestrowym.

w. z.

TEATR R. T. P. D. „WESOŁA GROMADKA". Abecadło z pieca spadło — czyli wesoła historia książki

montaż sceniczny pomysłu Zygmunta Leśnodorskiego w opracowaniu reżyserskim Antoniego Bohdziewicza

Teatr R. T. P. D. „Wesoła Gromadka" dba nie tylko o zaspokojenie estetyczne i pobudzenie fantazji najmłodszych widzów, ale przede wszystkim, jako teatr szkolny daje program dokształcający poza szkołą, w formie barwnej, lekkiej, dowcipnej a nade wszystko interesującej. Po doskonałym rozpoczęciu sezonu teatralnego „Niebieskim Ptakiem" Maeterlincka", który osiągnął rekordową ilość przedstawień i stał się na przeciąg wielu tygodni żywą rozkoszą małej publiczności, oklaskującej gorąco bajkę podaną jej przez Marię Billiżankę w sposób łatwy i trafiający do jej wyobraźni, obecnie teatr wystąpił z nowym widowiskiem scenicznym pt.: Abecadło z pieca spadło.

Mówiąc językiem dorosłych — jest to rodzaj rewii dla dzieci w której obrazy zmieniają się z chwili na chwilę. Montaż zrobiony przez Zygmunta Leśnodorskiego jest niezwykle udany. Zręczny, dowcipny i inteligentny mały widz teatralny, który w szkole jednocześnie uczy się dopiero pisać orientuje się natychmiast w całym początku i rozwoju pisma, które poprzez wieki, klasztory, piramidy zdąża ku naszym czasom i naszym książkom. Zygmunt Leśnodorski znany literat i niezrównany pedagog umiał uniknąć moralizatorstwa i niepotrzebnego przeciążenia dzieci wiadomościami zbyt szczegółowymi. Połączenie tych właściwości literacko-pedagogicznych daje zawsze doskonałe wyniki, czego świadkiem byliśmy na ostatniej premierze Teatru R. T. P.D. „Wesoła Gromadka". Druga część montażu jest zupełnie nowa w pomyśle i bardzo udana. Są to inscenizacje rozdziałów książek, a mała publiczność odgaduje których.

Najładniejsze obrazki to początkowy Kiplinga „Jak powstał pierwszy list" następnie fragment z „Sierotki Marysi" i z „Pinokia" książek ukochanych przez całą publiczność. Do sukcesu Abecadła przyczynił się wielce inscenizator, reżyser i konferansier w jednej osobie Antoni Bohdziewicz. Dużo świeżych pomysłów, inwencji i pracy włożył w całą imprezę. Jedyną słabszą stroną są pewne dłużyzny spektaklu. Obawiam się poprostu, czy dzieci pod koniec nie są już zmęczone tym bogactwem wrażeń i wiadomości, które im w swej trochę za trudnej konferansierce podaje Bohdziewicz. Konferansjerka jego jest przyjemna, kulturalna, na poziomie, ale nieco za poważna i zbyt moralizatorska. Ciekawe to, że autor pedagog uniknął moralizatorstwa, a potknął się na nim konferansier. Nie można dzieciom podawać wyrazów obcych im. Wtedy przestają słuchać i nudzą się. Idealny konferansier musi przede wszystkim sam ogromnie dzieci kochać, znać i rozumieć — reszta sama się zrobi. Koniec widowiska urozmaicony jest doskonałym tańcem w układzie Zofii Lubartowskiej. Zofia Lubartowska mało jeszcze znana w sferach teatralnych reprezentuje niezwykle subtelny talent pełen umiaru, kultury, a jednocześnie rozporządza wielkim temperamentem. Już jej balet w „Niebieskim ptaku" zwracał na siebie uwagę zupełnie nowym układem i trafnością artystyczną. Już po tym drugim występie można jej wróżyć wielkie sukcesy w przyszłości. Montaż doskonale zilustrował Szeski. Pomysłowość jego w przemianach epok, kostiumach i trickach reżyserskich była podziwu godna. Stworzył całość żywą, plastyczną i wesołą. Dekorator w teatrze dla dzieci ma tak samo dominującą rolę, jak ilustrator w książkach dziecinnych. Pan Szeski całkowicie podołał trudnemu zadaniu mimo ciężkich warunków pracy i finansów. A propos w tym miejscu nasuwa się proste pytanie: czemu jest tyle pieniędzy na teatry dla dorosłych, które kładą jedną sztukę za drugą, a wychowawczy teatr dziecięcy musi ciągle borykać się z brakiem subwencji? Wszyscy kochają dzieci, ale do pewnych granic. Gdy chodzi o pieniądze miłość ulatuje.

Cały młodociany zespół teatru spisał się dzielnie. Trudno wyliczać wszystkich wykonawców ról niewielkich i epizodycznych. Niech to będzie tylko dla nich reklamą, że w tak krótkim czasie osiągnęli więcej niż niejeden rutynowany aktor.

Muzyka Wacława Geigera żywa, pełna wdzięku, doskonale podkreślała wszystkie nastroje zmieniających się obrazków.

Irena Szczepańska

„Społeczne Komitety Radiofonizacji Kraju to najszybsza droga do zrealizowania oświaty wsi, miast, świetlic i szkół".

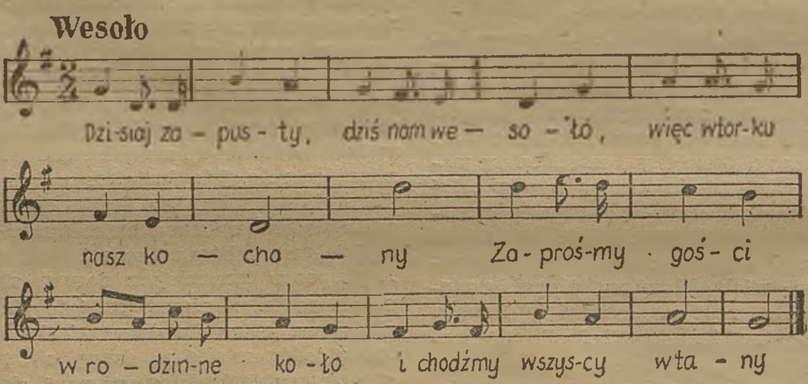
Prenumerata miesięczna „Świetlicy Krakowskiej" wynosi zł. 19, kwartalna zł. 55.—. Konto P. K. O IV—478.

INSCENIZACJE, TAŃCE i PIOSENKI

Ostatki na wsi polskiej

Już za dawnych czasów przez cały karnawał w każdą sobotę młodzież urządzała tańce na wsi aż do świtu. Schodzili się chłopcy nawet z okolicznych wsi i dziewczęta. Nie miejscowe dziewczęta, zapraszane przez chłopców, przyjeżdżały z nimi bryczkami lub saniami. Często te zabawy odbywały się na odmianę coraz to w innej wsi. W białostockim wieczorynki karnawałowe nazywano gzinami. Goście zaproszeni z sąsiednich wsi po zabawie pozostawali w chacie i tam byli częstowani gorzałką, mięsiwem i przysmakami różnymi przez gospodarza. W południe obchodził młodzian gości z tacą i zbierał datki na pilnie grającą muzykę.

Tym bardziej „ostatki" na wsi polskiej mają już swoje, śmiało rzec można, wiekowe tradycje. Od czwartku po „tłusty" wtorek, ostatni dzień przed popielcem, to okres zabaw, radości i wesołości połączony z pewnymi obrzędami, zwyczajami i przesądami. „Ostatki" trudno sobie wyobrazić inaczej, jak przy muzyce, śpiewie, tańcach, dobrym poczęstunku z obfitością trunków, słodkich faworków i pączków. Lud wtedy bawi się, bawić się chce aż „do upadłego" w tańcu, aż „póki nie zadzwonią na popielec". W całym kraju istnieje w tych dniach zwyczaj przebierania się, po wsi od chaty do chaty chodzą „przebierańce", często nawet wdziewają na siebie skórę zwierząt dzikich i domowych. Nie brak też konceptu w „wierszoklęctwie" domorosłym poetom, którzy w mig pod znane melodie swojskie, ludowe podkładają teksty wesołe o charakterze aktualnym. „Przebierańcy" bywają często, mimo obdarowania, goszczeni, a nawet przez chwilę tańczą i bawią się w domu, do którego zapukali. Za suty „poczęstunek" odwzajemniają się oni „fundatorom" aktualną piosenką z towarzyszeniem muzyki, tańcem a nawet wierszem-oracją.



Rozbrzmiewa ta dziarska melodia od chaty do chaty w okolicach Siennicy w powiecie mińsko-mazowieckim. W „tłusty czwartek" chodzą na Mazowszu Bartek (obowiązkowo z umazaną twarzą węglem) z Bartkową po chatach. Młodzież w szkole w dniu tym częstuje nauczyciela pączkami, faworkami i słodyczami; przebrane dzieci za Bartka i Bartkową humorem starają się ubawić współrówieśników i nauczyciela. Na tablicy szkolnej mieszczą się ucieszne wiersze i rysunki, a nawet prośba, by udzielić młodzieży zezwolenia na pójście do domu z ostatnich godzin zajęcia. Chowają dzieci kredę przed nauczycielem i często smarują tablicę smalcem, by nie można było na zajęciach na niej pisać.

Ostatni taniec na zabawie w „tłusty" wtorek obfituje na Mazowszu i na Kurpiach w przeróżne wesołe momenty, jak np. starszym kawalerom przyczepia się kloce, śledzie, kości lub kurze nogi do kapoty a w popielec rozsypują kawalerowie popiół u dziewcząt w domu, które w karnawale nie wyszły zamąż.

W okresie tym mają miejsce liczne i huczne weseliska, okrzyki, wiwaty i śpiewy słychać z daleka, urozmaicone trzaskaniem z bicza i parskaniem koni, gdy wesele jedzie. Doskonale to ilustruje pieśń z radzymińskiego „Wesele", opracowana na chór przez Piotra Maszyńskiego.

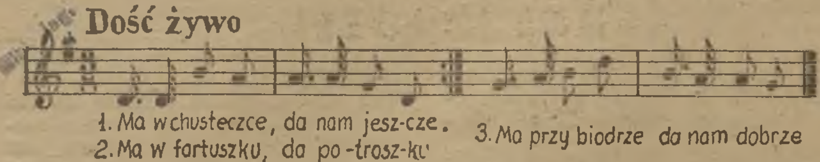
Na Podlasiu i w Białostockim w czasie „ostatków" odbywała się suta kolacja z „pampuchami" (jest to ciasto w postaci grzybka lub płaskich pączków). Po kolacji miały miejsce tańce nieraz nawet połączone z bieganiem po dworze na śniegu. Zabawa przed północą kończyła się ponownie ucztą, z uderzeniem dwunastej godziny ze słowami: „post" udawano się na spoczynek. W „ostatki" u zamożniejszych miały miejsce „kuligi" a więc sanie zaprzężone w koniki z dzwoneczkami i objeżdżało się z muzyką sąsiadów, gdzie miała miejsce zabawa i „poczęstunek"; gospodarze z gośćmi jechali zazwyczaj kuligiem znowu do innych i korowód wesołych i dzwoniących sań coraz bardziej rósł i potężniał. Był to jednak najczęściej zwyczaj szlachecki. — W Augustowskim chłopcy obnoszą po wsiach wizerunek kozy, uszyty ze szmat, obwieszony świecidełkami i dzwoneczkami, domagając się „wykupu" od gospodarzy i grożąc im w razie odmowy złą przepowiednią jak np. „że krowy im w ciągu roku mało mleka dawać będą". Chodzą też tam chłopcy z bocianem, a kto ich nie obdaruje to podobno „robactwo jemu zboże psuć będzie".

W Łęczyckim w „ostatni wtorek" istnieje zwyczaj stawiania „koziołka", zrobionego z drzewa, na miscе przed skrzypkiem. Pod tego „koziołka" rzucają kawalerowie pieniądze, płacąc za taniec zamówiony z dziewczyną.

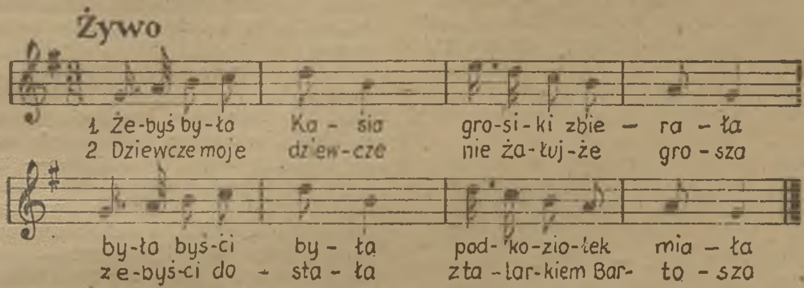
O. Kolberg w ten sposób opisuje ten obrządek: Przed północą gracz zwraca uwagę, że już czas do domu iść, bo „w kościele niedługo zadzwonią". Chłopcy i gracz wyśmiewają dziewczęta, że się nie pożeniły. Niektórzy zaś tancerze stając w obronie dziewcząt, biorą je za ręce, podprowadzają do gracza i pytają: „A co chcecie za to bydlę?" I odbywa się między nimi targ, zachwalanie i ganienie „bydlęcia". dopóki nie nastanie zgoda. Na znak zgody chłopcy rzucają grosze pod owego „koziołka" i następuje taniec. Grosze rzucane pod owego koziołka zowią się „podkoziołkiem". Każdej parze gra skrzypek oberka, jakiego sobie zamówią. W końcu do dziewcząt, które zostały bez chłopców, przychodzi niby starzec z przyprawioną siwą brodą i drążkiem na ramieniu, u którego zawieszony jest worek z popiołem, potrząsa on następnie nim nad głowami dziewcząt. Niekiedy płaczą one zawstydzone i wtedy ktoś z krewnych podprowadza je do gracza i „kupuje chociaż za jeden grosz".

W środę popielcową wieszają u belki przy progu chaty przetak z popiołem i wchodzącego do drzwi, osoba siedząca na piecu, pociągając za sznurek od przetaka idący, natychmiast popiołem obsypuje. Natomiast baby na Kujawach i w Poznańskim przyjeżdżały wozem po każdą mężatkę z osobna, która wyszła w danym roku zamąż, wiozły ją wśród śpiewu i tańców przed wozem, a w drodze do karczmy, gdzie przeważnie odbywały się zabawy, próbowały ją wywalić z wozu, od czego trzeba było się „wykupić". W samej karczmie baby skakały jak najwyżej z przesądu, że im wyżej podskoczą, tym wyżej len im urośnie w górę. Gdzie indziej wiozą na młodsze mężatki na taczkach ozdobionych jedliną, wstążkami, firankami i innymi ozdobami, zaprzężonych w niby niedźwiedzia, w grochowiny obwiniętego. Muszą się one wódką „wykupić". Na czele tego orszaku kroczyła zawsze najstarsza mężatka na wsi zwana „śmieszką" z kijem w ręku i z torba na plecach, sprzedając po drodze niby wiktuały w postaci kamyków, lodu, śniegu i błota.

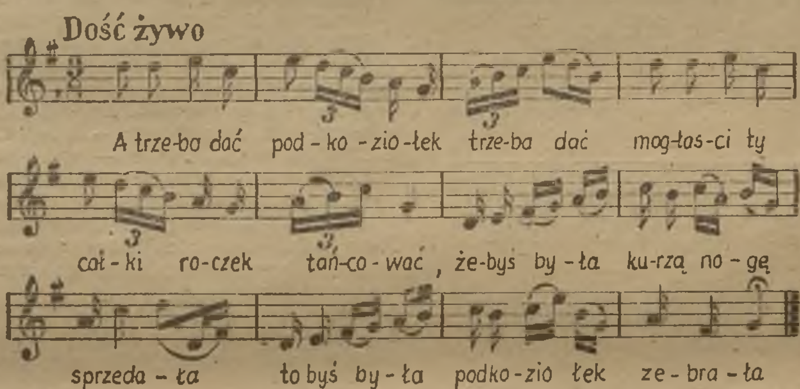
W poznańskim na „podkoziołku" chłopcy śpiewają do dziewcząt, by płaciły!



Dopomagają im często w zapłacie chłopcy i wtedy śpiewają:



Na Kujawach baby, zachęcające do „dania podkoziołeczka" tak śpiewają:



2. A trzeba i t. d.
żebyś była świńską nogę sprzedała
tobyś była podkoziołek zebrała.

3. A trzeba dać i t. d.
żebyś była ciotce miotłę sprzedała,
tobyś była i t. d.

4. A trzeba dać i t. d
żebyś była warząchiew sprzedała,
tobyś była i t. d.

W Radomskim w „kusy wtorek", na dzień przed popielcem, zbierali chłopi świątecznie ubrani kury i jaja po chatach jako daninę dla dworu. W środę całkiem praca ustawała i lud gromadził się koło karczem. Do rozochoconych trunkiem i zabawą przybywał zapowiadany „Bachus-rozpusta", stąd powiedzonko: zapusty-rozpusty, śladu tego zwyczaju doszukiwać się można w pogańskich obrzędach W Łomżyńskim „ostatki" zwane były kiedyś „Bachusami skocznymi". Był to wystrojony bałwan, którego chłopcy obnosili po całej wsi w asyście rażnych i świątecznie ubranych chłopców. Była to prawdziwa maskarada. Najrośliejszy i najszpetniejszy mężczyzna w przebraniu kobiety występował w roli żony rozpustnego „Bachusa". Niski o glupkowatej twarzy chłop z drągiem w ręku udawał wójta tej całej wsi i wygłaszał często oracje. Trzeci mężczyzna suchy i wysoki z torbą na plecach, zbierał dary, za które potem urządzano „poczęstunek". Gromadzie tej towarzyszyli chłopcy przebrani za żydów, cyganów i murzynów oraz kobiety z powiązanymi chustkami w rękach i gospodarze. We dworze składano wpierw uzbierane we wtorek dary i wygłaszano przemowy. Wszędzie chłopcy, nawet we dworze wyprowadzali dziewczęta niezamężne, żądając dla „Bachusa okupu". W środę popielcową „okupywać" się musieli wszyscy gdy przejeżdżali obok karczem, z których wybiegały baby, zagradzając drogę związanymi chustkami, miotłami i łopatami, a chłopcy bili też pytkami, supełkami na chustce. Tam też baby przebierają się za mężczyzn-dziadów, robią sobie paciory z kartofli, grzybów lub żołędzi i chodzą niby po proszonym, klepiąc przy tym pacierze. Jeśli kto im odmówi, to wymyślają im np. „Docekanie twoje że bedzies taka biedna babo, jako i ja i tak cie bedzies włócyć po świecie, jako i ja, i tak ci odmówią, jako i mnie".

Gdzieniegdzie tańczono w karnawale boso, „by widzialne koło wydeptać", jak się sami wyrażali.

W Kaliskim w „ostatni wtorek" ustawiają w karczmie beczkę za beczką, dwa talerze dnem do góry, a na tym dnie figurkę z drzewa w postaci chłopaka dziarskiego w katance szafirowej i czerwoną czapką z piórem. Do wnętrza sali wpuszcza się tylko

(Ciąg dalszy na str. 78)

A. ŁACHOWICZ

Gospodarz - to ja

(Ciąg dalszy)

SCENA IX

Maciej — Szymon — Andzia

ANDZIA: *(wpada wystraszona)* Tato... Tatulu... Coście wy narobili...

MACIEJ *(zdetonowany)* Niby — co?

ANDZIA: Jak mama się dowiedziała o tem życie; to się zrobiła czerwona jak burak i przysłała mnie, żebyście zaraz do niej na rynek przyszli.

MACIEJ: *(zgnębiony)* Tfu, cie choroba..

ANDZIA: Oj, będziecie wy mieli za swoje.

MACIEJ: *(bierze czapkę — do Szymona)* Czekajcie — zara wrócę...

SZYMON: *(znacząco)* Macieju?... jakto?... Idziecie?...

MACIEJ: Bo co?... A prawda... zapomniałem... *(rzuca czapkę o stół)* Nie pójdę... Idź i powiedz matce, niech pilnuje swojej śmietany, a do mnie niech się nie wtrąca. *(krzyczy)* Ja tu rządze. Ja tu jestem gospodarz — rozumiesz?...

ANDZIA: *(zdumiona)* Tato?... Szymek, co się ojcu stało?...

SZYMON: Tak, jak ci Andziu obiecałem. Obudził się.

MACIEJ: Idź. I żebyś to wszystko powtórzyła. Ino raz-dwa...

ANDZIA: O rety... Będzie bigos... *(wybiega)*

SCENA X

Maciej — Szymon

MACIEJ: *(siada, sapie — dość przygnębiony)*

SZYMON: No? co taką macie minę?

MACIEJ: Nie mam nijakiej miny — ino... co stara na to powie?... *(po chwili bierze czapkę)* Wiecie? — może pójść?...

SZYMON: *(zatrzymuje go)* Przestańcie już raz trząść portkami przed tą waszą Agatą.

MACIEJ: *(niepewnie)* Ja nie trzęsę, ale.. Myślę, że ino patrzeć, jak ona tu wpadnie... *(zaniepokojony)* Wiecie... Trza może kazać zabrać te butelkę i te szklanki...

SZYMON: *(skwapliwie)* Dobrze. *(woła)* Hallo. Panienko...

KELNERKA: *(wchodzi)* Słucham?

SZYMON: Ćwiartkę czerwonej, ćwierć kilo kiełbasy, ogórek i piwo...

MACIEJ: *(przerażony)* Szymek...

KELNERKA: Już się robi. *(wychodzi)*.

MACIEJ: *(wstaje, kładzie czapkę)* Słuchaj. Posiedź se chwilę, ja zaraz przyjdę.

SZYMON: *(zdejmuje mu czapkę — sadza)* Siadajcie, Macieju. Łykniecie jednego głębszego dla kurażu — to zaraz wam pieter minie.

MACIEJ: Kiej ja się wcale nie pietram — ino się trochę boje...

KELNERKA: *(wnosi zamówienie — wychodzi)*

SZYMON: *(nalewa)* No... jazda...

MACIEJ: A no trudno... *(piją)*

SZYMON: No? kąście...

(Ciąg dalszy na str. 78)

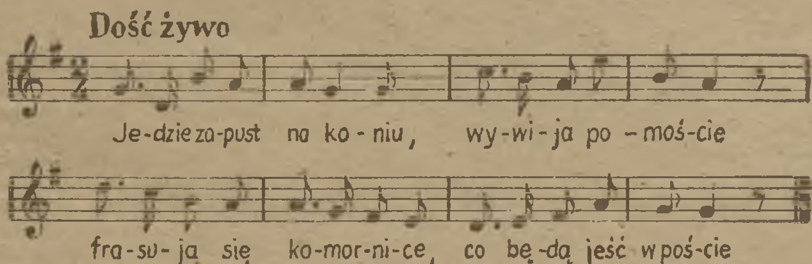
młodzież. Każda dziewczyna wchodząc musi mieć pieniądze. Najsilniejszy z chłopaków obtańcowuje wszystkie, które opłacają taniec, poczynając od najzgrabniejszych. Potem już wszystkim chłopcom wolno z nimi tańczyć.

W popielec zaś po kościele, baby zabierały ze sobą żywność i szły same do karczmy, gdzie jadły i piły, podskakując wysoko, po południu dopiero wolno było już wejść tam każdemu.

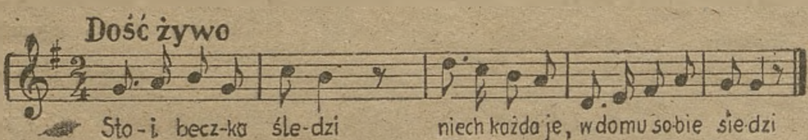
Pod Sieradzem trzy dni zapustów obchodzono hucznie, a kiedy północ wybiła, żegnany był karnawał potokiem wielkich skarg, zawodzeń i żalów. Wieśniacy w popielec skaczą jak najwyżej przez pień, co oznacza, że tak im zboże wysoko urośnie, napełniają dzbany wodą, by je potem rozbić i poobléwać zimną wodą wszystkich; palą też słomę, skacząc z okrzykami przez nią.

Krakowiacy tak przepowiadają: „jako zapusty pogodne bywają, świąt wielkanocnych tak się spodziewają".

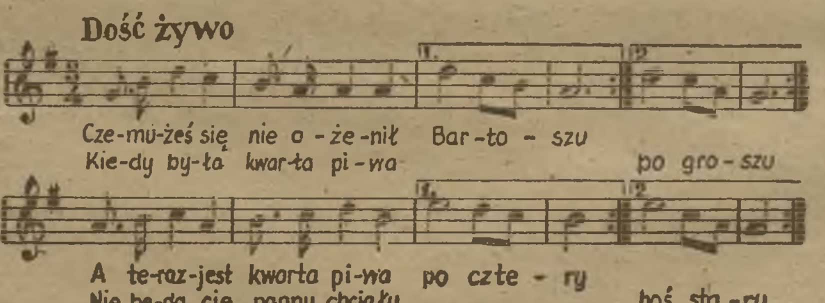
Był też zwyczaj w „tłusty wtorek" obchodzenia wsi z turem „turuniem" ze złotymi różkami przy śpiewach i tańcach, z konikiem w Krakowskim i wtedy śpiewano:



Odpowiedź daje następna piosenka:



We wstępną środę przez wieś wieźli kloc, do którego zaprzęgano dziewczęta i mężczyzn, którzy nie wstąpili w stan małżeński. Dookoła pnia tańczono i śpiewano:



2. Czemużeś się nie ożenił — Bajtała,
Bo mnie żadna piękna panna nie chciała.
Czemużeś się nie ożenił z młodych lat,
teraz cię panny nie chcą, boś już dziad.

O podobnej treści na inną melodię śpiewa do dziś lud śląski.

Tak się bawił i gdzie niegdzie jeszcze bawi się lud wiejski, chociaż muzyka, poezja, tańce, zwyczaje wielkomiejskie i obce pragną opanować wieś, w której jest tyle szczerego naturalizmu i prawdziwego narodowego piękna.

Józef Swatoń

MACIEJ: Ja nie jestem lękliwy. Na wojnie byłem. Znam kule, granaty, armaty... Ale ta moja stara, to czasem gorsza niż armata...

SZYMON: *(nalewając)* Dacie se radę. Ja z wami. No — na drugą nogę...

MACIEK: A — raz kozie śmierć... *(wypili — zagryzają)*

SZYMON: No a teraz wam powiem, co trza dalej u was zrobić.

MACIEJ: *(zaciekawiony)* Aha, gadaj, gadaj...

SZYMON: A więc te cztery morgi gruntu odłożnego trza zrównać i zasiać.

MACIEJ: Nie uradzę... Tam i rowy i dwa bunkry... Nie uradzę...

SZYMON: To wam pomogą inni, sąsiedzi. Oni wam, wy im. Jak będziemy tylko na swoim podwórku grzebać — nie damy rady. Musimy wszyscy sobie pomagać. Czego nie zrobi jeden, czy dziesięciu — to stu zrobi... Tak jest ustalone w planie rządu, który przez trzy lata chce odbudować polską gospodarkę. I odbuduje, bo my pomożem.

MACIEJ: Wiesz Szymek, żeś ty mnie naprawdę odmienił. Aż się teraz palę do tej roboty...

SZYMON: Cieszę się, żem się z wami dogadał. Za dwa, trzy lata nie poznacie ani waszego gospodarstwa, ani waszej wsi. Nie będziecie łamać kół ani wywracać wozów na takich jak tera drogach. Wszędzie, czy do wioski, czy do miasta będą zbudowane szosy, albo brukowane, albo asfaltowe...

MACIEJ: I kto to te szosy będzie budował? my.

SZYMON: Nie my ino fachowcy z miasta. Nie będziecie w chacie siedzieli przy kopcącej lampie — bo wszędzie będzie światło elektryczne. I nie tylko do świecenia: motorek wam wstawią taki elektryczny: potrzebujecie sieczki narżnąć — cyk za guziczek — i sieczkarnia chodzi, ino huczy, chcecie ziarno przewiać, czy zemleć — cyk za guziczek — i robota idzie... A wy ino stoicie i oczy wam ze zdziwienia wyłażą. I końskiej siły zaoszczędzicie i swojej.

MACIEJ: *(drapie się w głowę z podziwem)* Cię choroba... To tak, mówicie, cyk za guziczek — i tego?...

SZYMON: A po robocie — wchodzicie do czystej, widnej izby, siadacie se na ławie — słuchawki radiowe na uszy i wesoło wam. Żona wam się piekli, a wy nic, bo bez ten czas ino jakiegoś opowiadania, albo muzyczki słuchacie...

MACIEJ: To — i radio będzie?

SZYMON: Wiadomo, u każdego Albo takie w skrzyneczce, albo słuchawki...

MACIEJ: Nie, nie... Ja tam wolę słuchawki...

SZYMON: Albo dzieciaki. Starsze w polu, a toto zawsze coś spsoci: albo do wody wpadnie, albo mleko z chłodnicy wyleje...

MACIEK: Albo ogień zapruszy, jak to latoś było u Koperków...

SZYMON: O widzicie. A tego już nie będzie...

MACIEJ: Bo co? czy to dzieci odrazu będą mądre się rodzić?

SZYMON: Nie. Ale w każdej wsi będzie taki żłobek dla dzieci, takie przedszkole. Idziecie w pole — dzieciaka za rękę i do żłobka, wracacie — dzieciaka do domu. A tam taka uczona panienka zaopiekuje się nim i zabawi i na elementarzu pokaże. Mówię wam — inne będzie życie Macieju. I szkoła w każdej wiosce i posterunek lekarski i obsiane wszystkie grunta i tani sprzęt z polskich fabryk i hut...

MACIEK: Owszem, nie powiem, wcale mi się to podoba, ino powiedz mi, kto to będzie wszystko zakładał? te szkoły, te motorki, te radia, te różne żłóbki i słuchawki?

SZYMON: Kto? — pewnie że nie dziedzic, ani kamienicznik, ino rząd, ino ludzie z miasta, fachowcy, uczone. I zrobią to wszystko. Ino my nie możemy siedzieć i czekać na to z założonymi rękami, ale trzeba im pomóc...

MACIEK: Co żeś ty! — Uczonym będziem pomagać?

SZYMON: Chleba musim im dać. Musim tak uprawiać ziemię, żeby dla wszystkich starczyło. Trzeba zakasać rękawy, splunąć, zacisnąć zęby i do roboty. A wtedy, Macieju, górą nasza...

MACIEK: *(wstaje)* Zobaczysz Szymek. Już ja tam swoich wezmę w garść. Już my — co do nas — zrobim...

SZYMON: *(ściska mu dłoń)* Zrobim, napewno zrobim...

SCENA XI

Maciek — Szymon — Andzia

ANDZIA: Oloboga. Ojciec... Matkę ino tu patrzeć...

MACIEJ: *(niepewnie)* Tfu, cie choroba...

ANDZIA: Mówię wam, powiedziała, że was roztrzęsie...

SZYMON: Macieju...

MACIEJ: Prawda... Słuchaj, dziewucho, jak tu jeszcze raz przyjdziesz do mnie z lamentem, to i tobie i matce taki odpust wyprawie, że od śmiechu nie powstrzymacie... Zmiataj stąd... Jazda...

SZYMON: Macieju... Nie wypędzajcie Andzi... Co ona winna...

MACIEJ: Że co? — a no dobrze Jak Szymek za tobą to zostań. Bo Szymek — to mój przyjaciel... Szymek. Nie piję wódki, ale z tobą, żeś mnie odmienił... *(woła)* Hallo. Jest tam kto?...

KELNERKA *(wbiega)* Jestem, jestem, czego?

MACIEJ: Wszystko jeszcze raz, jak było... Ino duchem...

KELNERKA: Już podaję *(wybiega)*

MACIEJ: *(siada)* Siadaj, Andzia. *(Andzia siada)* Żyto sprzedałem, pieniądze mam — jedno i drugie — ja płacę.

SZYMON: Coście wy! — chcecie, zapłaćcie to — tamto moje...

MACIEJ: Nie sprzeciwiaj mi się bo i tobie co przygadam. Gospodarz — to ja.

KELNERKA: *(wnosi zamówienie — odchodzi)*

MACIEJ: *(nalewa)* No pij — i ty, Andziu jednego... Za naszą przyszłą odnowioną wieś...

SZYMON: *(po wypiciu)* Macieju, powiedzieliście, że jak wam pomogę i poradzę — to wszystko dla mnie zrobicie, o co bym nie poprosił...

MACIEJ: Sprawiedliwie... Powiedziałem tak i zrobię... Żebyś wiedział, że zrobię...

SZYMON: A cobyście mi odrzekli, gdybym was prosił, żebyście mi Andzię dali?...

MACIEJ: Rzekłbym, że jeżeli ci Andzia sprzyja, to ją sobie bierz...

ANDZIA: *(całuje go w rękę)* Tatulu najdroższy...

SZYMON: Z serca dziękuję i trzymam was za słowo...

ANDZIA: Ino mama się na to nie zgodzi...

MACIEJ: Co? — matka tu nie ma nic do zgodzenia... Ja jestem ojcem, a nie matka... Może nie jestem?...

ANDZIA: Jesteście, tatulu, jesteście...

MACIEJ: No to — za wasze zdrowie...

SZYMON: Do ciebie, Anusiu...

ANDZIA: Na pomyślność...

SCENA XII

Maciej — Andzia — Szymon — Agata Józef

AGATA: *(za sceną)* Gdzie jest ten leń, ten niedorajda zatracony...

MACIEJ: *(pił wódkę — krztusi się)* Tfu, cie choroba... Moja stara...

SZYMON: Śmiało ojciec... Na całego...

MACIEJ: Dobrze... Ja jej dam re..ruckie przeszkolenie...

AGATA: *(wchodzi)* Aaaa... Jesteś...

MACIEJ: *(niebardzo pewnie)* Bo co?

AGATA: Patrz-jta ludzie. Jeszcze mi do słowa dojść nie da... Jeszcze z gębą na mnie wyskoczył... a stoję na rynku jak głupia cały dzień, a on tu sobie siedzi i gorzałę pije. *(stopniowo posuwa się do niego — Maciej w miarę cofa się — aż do miejsca, gdzie stoi Szymon)* Czekaj, ja z tobą pogadam, ino do chałupy przyjadziem...

SZYMON: *(do Macieja na stronie)* Śmiało — do ataku...

(Maciej na migi pokazuje, że się nie boi, ale niemniej tchórzy)

AGATA: Ja cały dzień głodna, a on se piwko, wódka, kiełbasa... o rety... i ogórki... Czekaj, będziesz ty te ogórki pamiętał do Wielkiejnocy... Będziesz ty se wygody na smaku robił, będziesz ty...

MACIEJ: *(zdecydował się)* Cichoj... Ani pary z gęby...

AGATA: *(zdumiona)* Oloboga...

MACIEJ: *(j. w. coraz mocniej)* Ach ty pytlu zardzewiały!... Ty osol...

AGATA: Upił się... Patrz Andzia, twój ojciec się upił... Wstyd mnie przy ludziach robi...

MACIEJ: Cicho... Czy się upił czy nie — to moja rzecz, a tobie ode mnie zasię... Ty połamany krokodylu... Ty bombo atomowa...

AGATA: *(bezradnie)* Ludzje — zwariował...

MACIEK: *(zapamiętał się, wali w stół ręką, potem nogą)* Zwariowałem, czy nie zwariowałem, to zwariowałem, że zwariowałem... A coś ty myślała, że całe życia będziesz mną przewodzić? Nie ma... Skończyło się twoje panowanie. Ja tu jestem gospodarzem — nie ty... Albo będziesz posłuszna i będziesz robiła wszystko wedle obrządku co potrzeba i do mnie nie wściubiała nosa, albo zwijam manatki i na Zachód...

AGATA: *(zdumiona i przerażona)* Macieju...

ANDZIA: Tatulu...

SZYMON: *(z grzeczną ironią)* Tak jest, na Zachód — ze mną...

MACIEJ: *(zapędzony)* Tak, ze mną... tak jest.. z nim...

AGATA: Oloboga, Macieju, a dyć zastanów się...

MACIEJ: Cichoj, milcz, jak do mnie gadasz... Trzydzieści lat prawie jazgotałaś jęzorem, a terà na mnie kolej...

(Dokończenie nastąpi)

KRONIKA ŚWIETLICOWA

Eliminacje na szczeblu powiatowym w związku z pierwszym ogólnopolskim konkursem Ochotniczych Zespołów Artystycznych przy Świetlicach, Zakładach Pracy, Związkach Zawodowych i Domach Kultury, odbyły się już w Bochni, Białej, Brzesku, Chrzanowie, Nowym Targu, Olkuszu i Żywcu. Miejscowa ludność, licznie zebrana, z wielkim zainteresowaniem uczestniczyła w uroczystościach. Eliminacje na terenie miasta Krakowa rozpoczną się z początkiem marca br.

*

Dnia 17 lutego odbyło się uroczyste zakończenie kursu dla kierowników świetlic przy krakowskich Zakładach Pracy, Związkach Zawodowych i Domach Kultury, w obecności przedstawicieli Okręgowej Komisji Związków Zawodowych i zarządów Związków Zawodowych. Chwilę tę uświetniono odśpiewaniem żołnierskich i robotniczych pieśni i zbiorowymi recytacjami.

WYDAWNICTWA NADESŁANE

„ŻYCIE SZKOŁY". — Miesięcznik poświęcony organizacji wychowania i nauczania Nr. 1 (12) Rok II. Toruń, styczeń 1947. Redaktor: Stanisław Nowaczyk.

EDWARD WEITSCH — TECHNIKA PRACY UMYSŁOWEJ. — Przewodnik w samokształceniu i oświacie, Warszawa 1947, — Spółdzielnia Księgarsko-Wydawnicza „Światowid".

„NOWA SZKOŁA" — miesięcznik Nr. 10—12 (październik—grudzień), Rok II. Warszawa-Łódź 1946. — Wydawca: Ministerstwo Oświaty. Redaktor: Teofil Wojeński.

„PORADNIK PRACOWNIKA SPOŁECZNEGO" dwutygodnik Nr. 1—2 (33—34) 1—15 lutego 1947 Warszawa. Wydawca: Ministerstwo Informacji i Propagandy. Redaktor Naczelny: mgr. E. Słuczański.

WŁODZIMIERZ SZCZEPAŃSKI — ZASADY OBRADOWANIA. Wydawnictwo Książnica Polska — Warszawa.

KRYSTYNA POZNAŃSKA, ZYGMUNT MŁYNARSKI — NA OBCEJ SŁUŻBIE, Warszawa 1947 (Poradnik Pracownika Społecznego).

IRENA LEWULIS i BRONISŁAW



Kącik Szachowy

PARTIA HOLENDERSKA

Do początków nieprawidłowych należy, obok wskazanej już przez partii angielskiej, również partia holenderska, która jak poniżej prowadzona przez mistrza Spielmanna, okazała się zwycięska nawet z niezrównanym Rubinsteinem.

Białe — Rubinstein **Czarne — Spielmann**

1. d2—d4, e7—e6, 2. c2—c4, f7—f5, 3. Sb1—c3, Gf8—b4, 4. Gc1—d2, Sg8—f6 5. g2—g3, 0—0, 6. Gf1—g2, d7—d6, 7. a2—a3, Gb4×c3, 8. Gd2×c3, Sb8—d7, 9. Dd1—c2, c7—c5, 10. d4×c5, Sd7×c5, 11. Sg1—f3. Sc5—c4, 12. 0—0, Gc8—d7, 13. Wf1—d1? — należało tu postawić wieżę a1, Wa8—c8, 14. Gc3×f6, Dd8×f6, 15. Dc2—b3, Wc8—c7, 16. Sf3—e1, Se4—c5, 17. Db3—b4, f5—f4, 18. Se1—d3, f4×g3, 19. f2×g3, Sc5×d3, 20. Wd1×d3, Df6—f2+, 21. Kg1—h1, Gd7—c6, 22. e2—e4, Wc7—f7, 23. Wa1—e1, a7—a5, 24. Db4—c3, Df2—c5, 25. b2—b4, Gc6×e4!! Czarne grożą matem w dwóch posunięciach. 26. We1×e4, Wf7—f1+, 27. Gg2×f1, Wf8×f1+, 28. Kh1—G2, Dc5—f2+, 29. Kg2—h3, Wf1—h1, 30. Wd3—f3, Df2×h2+, 31. Kh3—g4, Dh2—h5+, 32. Kg4—f4, Dh5—h6+, 33 Kf4—g4, g7—g5, 34. We4×e5 musowe, gdyż inaczej mat na h5, 34 Dh6+e6+, 35. Wf3—f5, h7—h6, 36. Dc3—d3, Kg8—g7 czarny król atakuje, 37. Kg4—f3, Wh1—f1+, 38. Dd1×f1, De×f5+, 39. Kf3—g2, Df5×f1+, 40. Kg2×f1, a5×b4, 41. a3×b4, Kg7—f6, 42. Kf1—f2, h6—h5. Białe się poddały, gdyż czarne zawsze mają wygraną końcówkę; proponujemy ją rozegrać.

KAMIŃSKI — BAJKI, Ilustr. Klimek, Paryż 1946, stron 62.

KAMIŃSKI BRONISŁAW — OBRAZ CZŁOWIEKA — POEZJE, Paryż 1947.

A. E. BALICKI — KU CZCI KOŚCIUSZKI — Uwagi dotyczące przygotowania uroczystości narodowych. Wydawnictwo Głównego Komitetu Kościuszkowskiego w Krakowie, str. 15.

PEREGRINUS — MIASTA NIEMIECKIE DZISIAJ. — Wydawnictwo Zachodnie, — Poznań 1946, stron 100.

H. JURASZKÓWNA — O ZIOŁACH LECZNICZYCH. — Str. 40. Cena zł. 24.

JERZY KONDRACKI — POMORZE. Str. 47. Cena zł. 35.

POD SZTANDAREM WOLNOŚCI — opowiadania o Tadeuszu Kościuszce. I. Barowa. H. M. Dąbrowolska, H. Mortkowicz-Olczakowa i Z. Turowska. Rysunki: W. Borkowski. — Wydawnictwo Głównego Komitetu Kościuszkowskiego w Krakowie, str. 94.

„BIULETYN KSIĘGARSTWA SPÓŁDZIELCZEGO". Mies., Rok II, Nr. 1 (4). Styczeń 1947. Wydawca: Związek Rewizyjny Spółdzielni R. P. — Warszawa. Redaguje Dział Księgarstwa Spółdzielczego w Związku Rew. Spółdzielni R. P.

„RZECZY CIEKAWE". Miesięcznik popularno-naukowy. Rok II. Nr. 1 (13). Styczeń 1947. Warszawa. Wydawca: Centralna Poradnia Samokształcenia przy L. I. C. I. K. Redaktor: Maria Suszyńska.

„TEATR LUDOWY". Miesięcznik poświęcony pracy ochotniczych zespołów teatralnych i muzycznych. Rok XXXII Nr. 1—2, Listopad—Grudzień 1945. Redaguje Zespół. Wydaje: Towarzystwo Teatru i Muzyki Ludowej R. P. w Warszawie.

KAROL GÓRSKI — KRÓTKIE DZIEJE PRUS WSCHODNICH. — Str. 92. Cena zł. 43.

JERZY PERTEK — POD POLSKĄ BANDERĄ WOJENNĄ. — Wydawnictwo Zachodnie.

ISTOTNA PRZYCZYNA



— Co takiego, 40 zł. za litr mleka?!

— A to paniusia nie wie że zima ostra i woda w studniach pozamarzała?

Organ Wojew. Domu Kultury w Krakowie Redaguje zespół Adres redakcji: Kraków 1 Maja 1, II. piętro, telefon 565 58

Drukarnia I. pod Zarządem Państwowym, Kraków, Wielopole 1. M—16774